TYDZIEŃ

KULTURALNO-LITER. DODATEK »GŁOSU NARODU«

Rok II **Kraków, piątek, dnia 24 grudnia 1937 r.** **Nr 52**

Maria Drohojowska

Christmas!

Wyspy Scilly *) mają klimat uprzywilejowany. Roślinność jest taka jak w krajach południowych; rosną tam palmy aloesy, kaktusy, kwitną fuksje i pelargonie, a wszystkie dosięgają znacznej wysokości. Mieszkańcy w liczbie 4.000 uprawiają niemal wszyscy jarzyny i kwiaty wiosenne, a w szczególności narcyze białe... A oto piękne podanie, jakie mieszkańcy opowiadają o powstaniu tego wyjątkowego, wymarzonego klimatu będącego ich radością:

Niegdyś, wyspy Scylly były jałowe, nawiedzane przez wichury i burze niezwykle gwałtowne, a częste. Temperatura była jedną z najbardziej ostrych, a mieszkańcy wysp, sami rybacy, żyli w nędznych chatach ulepionych ze słomy i gliny. Jedyny budynek z kamienia, to był zamek, prawdziwa twierdza osadzona na największej wyspie; panował też nad ziemią i morzem. Na jego gruzach wybudowano później zamek inny, dotychczas istniejący.

W jednej z tych mizernych lepianek żyła, nie wiadomo z czego biedna kobieta Maja Fischer i jej czworo dzieci. Mąż jej, rybak, utonął w morzu na wiosnę, a w czasie lata widywano biedną wdowę, jak wlokąc za sobą dzieci błąkała się po wybrzeżu pomiędzy skałami w poszukiwaniu kilku krabów i drobnych rybek, którymi się żywili. Sąsiedzi, mając sami zaledwie tyle, aby móc wyżyć, zrazu odmawiali sobie niejednego, aby dopomóc biednej kobiecie; ale ludziom się to wnet sprzykrzyło. W ten wieczór Bożego Narodzenia nieszczęśliwa kobieta znękana, z twarzą ukrytą w dłoniach, szlochała w izbie lodowatej, bez ognia. Zanim ułożyła dzieci do snu, podzieliła między nich połowę małego bochenka czarnego, który sąsiadka litościwa jej przyniosła, a maleństwa patrzyły z chciwością na kawałek, który matka schowała do odzieży. Ona sama nic nie jadła od dwudziestu czterech godzin, ten kawałek chleba razowego miał być całym obiadem świątecznym jej dzieci. Niestety! Czy nie umrą przed tym z zimna i głodu,... Umrzeć w tym dniu Bożego Narodzenia, który jest świętem ubogich, pokornych i tych wszystkich, którzy cierpią,... Nie! to się stać nie może!...

Zerwała się z nagłym postanowieniem...

Pójdzie zaraz do zamku... To prawda, że baron był człowiekiem okrutnym i twardym dla biednych, i że służalcy, biorąc przykład z pana, byli bezczelni... A może, w tę noc Bożego Narodzenia, litość wejdzie do ich serc... Upewniła się, że dzieci mocno zasnęły, po czym zarzuciwszy na ramiona wytarty i cienki płaszczyk, wybiegła trzęsąc się cała z gorączki i rozpaczy. Biegła szybko walcząc z wichrem, który dął gwałtownie i zdyszana doszła do bramy zamku... Most zwodzony był spuszczony, aby rybacy mogli przyjść na Pasterkę w kaplicy zamkowej. Skierowała się prosto do sali, gdzie służba zgromadzona przygotowywała właśnie wieczerzę świąteczną. Wielki ogień oświecał izbę. Całe jagnię piekło się na rożnie, otoczone ptactwem i wieńcami kiełbas. Maja zatrzymała się na progu olśniona blaskiem, z zapartym oddechem. Jeden z kuchtów spostrzegł ją.

— Co robisz tu, łajdaczko jedna?

— Ja... ja... moje dzieci... nie mają nic do jedzenia...

— Dosyć tego! Nie mamy czasu do stracenia. Wynoś się stąd, żebraczko! I — czym prędzej!

W tej chwili, zjawił się w drzwiach sam pan baron.

— No cóż, chamy!... krzyknął. Na co czekacie...?

Spostrzegł nędzarkę i wyraz jego twarzy stał się twardy.

— Co tu robi ta kobieta?

— Jaśnie panie, to żebraczka, która nie chce odejść!...

— Ha! ona nie chce odejść? Poczekaj trochę ty, łajdaczko! Chodź tu Brown!... Tutaj Black!... huzia! huź... huź... bierzcie ją pieski! łapaj!... trzymaj!...

I biedna matka uciekła ścigana przez dwa buldogi... Gdy już miała wypaść z wielkiego podwórza zamkowego, zauważyła kaplicę oświetloną, której brama pozostała uchylona. Schroniła się tam. Z boku przy chórze znajdowała się szopka. Maja uklękła przed nią i zaczęła się modlić żarliwie. Zwracała się do Marii tak, jakby do wiernej przyjaciółki, do siostry, której można wszystko szczerze powiedzieć. Modliła się długo, po czym, czując się już mniej opuszczoną, podążyła z powrotem, a gdy przyszła do swej chaty, północ właśnie biła.

Maja się nie położyła. Na co? Nie mogłaby zasnąć! Zawierucha, która huczała na polu, niczym była w porównaniu z burzą, która pustoszyła jej serce! Wzdrygnęła się: kołatano do drzwi. Wstała i otworzyła. Na progu stała bez ruchu żebraczka.

— Wejdź! rzekła Maja. I, skrzesawszy ogień zaświeciła kawałeczek łoju, który służył jej za ogarek.

— Głodna jestem, zmarznięta, zmoknięta! rzekła nieznajoma. Czy możesz użyczyć mi schronienia?

I spod dużego płaszcza koloru błękitu, wyjęła dzieciątko nowo-narodzone, które spało przy jej piersi.

Maja zadrżała z żalu na widok tej matki jeszcze bardziej litości godnej niż ona sama. Wydobyła z dzieży ową połówkę chleba. Podzieliła ją na dwie części i dała kawałek nieznajomej, zachowując drugą część dla swych dzieci. Kobieta szybko spożyła swoją.

— Jeszcze jestem głodna! powiedziała.

Maja z westchnieniem oddała resztę chleba swemu gościowi.

— Synaczek mój i ja sama potrzebujemy snu!

(Dokończenie na str. II).



*) „Christmas", Boże Narodzenie w języku angielskim, najbardziej uroczyście obchodzone święta w krajach anglo-saskich... Wyspy „Scilly", położone u wybrzeży południowych hrabstwa Kornwalii w Anglii, znane są z uprawy najpiękniejszych, południowych kwiatów, rozsyłanych zimową porą w ogromnych ilościach do całej Europy...

Ali Iskander

Islam i jego wyznawcy

Wpadł kiedyś do naszej redakcji — polecony przez jednego z profesorów U. J. — młody człowiek, właśnie autor niniejszego artykułu. Dowiedzieliśmy się, że jest polskim Tatarem, szczyci się pochodzeniem od Tatarów, którzy Polsce oddali niejedną przysługę w wojennej potrzebie. Zna Polskę, ale zna Rosję i Turcję. Jest dla nas jak gość z innego świata. Pytamy go o ten inny świat. Opowiada coraz ciekawsze rzeczy. Aż raz:

— Czyby Pan nie napisał czegoś do „Głosu Narodu" na temat islamu, bo — zdaje się — jest Pan mahometaninem?

— Ależ owszem, najchętniej... Jestem muzułmaninem i sprawy religii zajmują mię bardzo.

— Wie Pan co?... U nas, w chrześcijańskim świecie, panuje przekonanie, że najoporniejszym w apostołowaniu narodem są muzułmanie.

— Prawda! Muzułmanin rzadko przechodzi na chrystianizm.

— Czemu to przypisać? Niech Pan coś o tym napisze!

— I napisał. Tak powstał artykuł, który dziś drukujemy. — Uw. Red. „Głosu Nar."

Islam jest syntezą nauk Mojżesza i Chrystusa; łączy w sobie sprawiedliwość judaizmu i miłosierdzie Chrystianizmu. Ciekawi nas w tej chwili jego jedność, zwartość, konserwatyzm i ta upartość, która stoi na przeszkodzie przenikaniu do niego innych religij. Gdzie przyczyna tego zjawiska? W treści Islamu i w warunkach politycznych, w jakich żyli jego wyznawcy.

KORAN I MEKKA.

Islam głosi: — „Wszyscy prawowierni są braćmi" — „O prawowierni, stworzeni jesteście z jednego mężczyzny i kobiety"... „Najgodniejszy pośród was jest ten, który miłuje wszystkich ludzi" (mahometan, przyp. aut.) i niesie im pomoc w potrzebie" (Koran, XLIX — 13. 14).

Wynika stąd, że jednym z podstawowych zasad Islamu jest hasło: — jedność, braterstwo i równość. Islam stał się w ten sposób czynnikiem wiążącym wszystkich wyznawców, a jednocześnie ponad państwowym i ponad narodowym. Zespolił narody rasowo obce w mocną całość i nadał im wysokie wartości, z których powstanie wspaniała i jednolita w swej treści — kultura muzułmańska.

Islam położył także mocne podwaliny jedności w stosunkach socjalnych, stworzył prawdziwe podstawy demokratyzmu. Zniósł wszelkie różnice klasowe. Bogaci i ubodzy mają równe prawa i jednakowo muszą stosować się do jego nakazów i norm. Jeden z takich nakazów obowiązujący wszystkich jest: „al-Chadż" — pielgrzymka do Mekki. Każdy przybywający do grobu Proroka musi w odległości 100 klm. od Mekki zrzucić swoje codzienne ubranie, a nałożyć nowe, mekkańskie, składające się z dwóch płacht białego płótna; jedną przerzuca przez lewe ramię, drugą okręca biodro. Poddać się tej ceremonii muszą nawet królowie. Następnie każdy pielgrzym obowiązany jest przejść pieszo te 100 klm, z wyjątkiem oczywiście chorych i kalek.

Mekka stała się jeszcze jednym ośrodkiem i podstawą zjednoczenia Mahometan. Stała się symbolem wyrównania wszelkich różnic socjalnych, — symbolem prostoty i braterstwa. Żarliwość religijna stała się najsilniejszym cementem jednoczącym Mahometan.

Islam otacza szczególną troską ubogich; to stało się bodźcem do stworzenia gęstej sieci fundacyj charytatywnych.

Prof. U. J. P. Kowalski w swym dziele, p. t. „Islam" pisze tak o nich: — „w rozlicznych urządzeniach opieki społecznej" znajdują oparcie wędrowni mnisi, pielgrzymi do miejsc świętych, uczeni, którzy przebiegają w poszukiwaniu wiedzy ogromne obszary świata muzułmańskiego, pewni, że wszędzie znajdą przytułek na noc, bezpłatną kuchnię fundacyjną, bibliotekę publiczną i inne formy pomocy".

Ciekawe, że chany-fundacje były przytułkiem nietylko muzułman, ale i chrześcijan. Korzystało z nich wielu misjonarzy Chrystusa, między innymi słyny ojciec Foucauld.

Ale obok tej prostoty i jedności, stworzył Islam także przepych. Znany prof. uniwersytetu budapeszteńskiego Vambery, twierdzi, że ten przepych, pogoń za nim popychał masy muzułmańskie do wypraw wojennych. Jednak nie to decydowało o nich. Islam trafił w umysły ludu, mas, tak, że w imię Proroka poszły na podbój świata i nawracania „giaurów" na łono Mahometa.

Podobieństwo warunków klimatycznych, etnicznych i psychicznych, ułatwiło rozszerzenie się Islamu na całym bliskim Wschodzie i półn. Afryce. Gdy inne religie mniej czy więcej pozostały w dziedzinie myśli, — Islam wszedł także w dziedzinę życia codziennego, i wypełnił je po zręby nakazami moralnymi, często — przyznać trzeba — sprzecznymi z prawdziwym humanitaryzmem i miłosierdziem. Dodajmy do tego ponęty raju obiecanego prawowiernym, a zrozumiemy dlaczego „nakaz" Proroka prowadził masy do boju, pobudzał je do wiecznej wojny.

W okresie wojen arabsko-europejskich, później turecko-europejskich widzimy szczyt potęgi i jedności Islamu. Walka cementowała cały świat muzułmański. Z chwilą gdy jednak przewaga wroga przeszkodziła dalszej ekspansji, Islam stanął. Lecz wytworzona w przeciągu historii namiętność do wojen różnych państw muzułmańskich, musiała szukać pola działania, gdzie indziej i znalazła je wśród siebie. Wiadomem jest, jak małą siłę przedstawiał Islam w wieku XIX. Czyż trzeba było lepszej okazji, aby go zepchnąć z powrotem w jego pierwszą ojczyznę? Pisali wówczas Vambery czy Gobineau, że upadek Islamu jest już pewny. Okazuje się jednak, że dźwignął się z upadku i wzmocniony rusza do nowej ekspansji. Wyraźnie to stwierdza lord Handley w swoim dziele „Potęga

---

— Oto moje łóżko, jest szerokie — powiedziała Maja — będzie dość miejsca dla nas trojga.

Położyła się wraz z nieznajomą i zasnęła natychmiast.

Światło było zgaszone; pomimo to, jakiś blask przenikał na wskróś ubogą izdebkę. Światło to promieniowało z łóżka, na którym spoczywała „żebraczka" i jej nowo-narodzony.

Nagle powstała. Płynęła raczej, niż kroczyła przez izbę. Stanęła przy kominie. A zobaczywszy, że nie ma trzewiczków, które tu powinny były stać, oderwała połę swego płaszcza i podzieliwszy na cztery części zawiesiła je w nogach łóżka, na którym spało czworo dzieci. Poczym biorąc niemowlę, stopką jego różową dotknęła czterech szmatek niebieskich, które natychmiast zamieniły się w cztery pończoszki wypchane aż po brzegi zabawkami i łakociami. Potem, położyła rączkę swego dzieciątka na dzieży, a dzieża wypełniła się chlebem. Dotknęła ogniska wygasłego, a stos drzewa ułożył się aż pod okap komina, — na gwoździu zaś zawisła piękna, wonięjąca szynka. Po czym wyszła i zniknęła wśród nocnej ciszy.

* * *

Gdy w poranek Bożego Narodzenia mieszkańcy wioski zbudzili się, w pierwszej chwili zdało się im, że śnią jeszcze; znaleźli się bowiem nagle w miesiącu maju; powietrze przesiąknięte było wonią kwiatów; śnieg, który sypał noc całą, zamienił się w narcyzy, pokrywające wyspę olśniewającą bielą. Zamek pyszny runął pod naporem wichury, która spustoszyła wyspy; był teraz już kupą gruzów, pod którymi leżały, zagrzebane, martwe ciała barona, rodziny jego i służby. Sama tylko kaplica ocalała, a gdy biedni mieszkańcy wyspy przyszli do niej procesjonalnie, aby podziękować Bogu za ocalenie, w Świętej Dziewicy z Szopki Maja poznała „żebraczkę", której użyczyła schronienia. Opowiedziała historię tych niebiańskich odwiedzin i pokazała płaszcz Marii pocięty...

Wówczas pokorni rybacy zrozumieli, że stał się cud nad nimi; nazwali wyspę tę, wyspą Najśw. Marii i zaczęli uprawiać ziemię żyzną zamiast łowić ryby na szerokim morzu.

Także w tym czasie małe dzieci z wysp Scilly, a potem wszystkie w całej Anglii, powzięły zwyczaj zawieszania pończoszek u nóg łóżka w wigilię Bożego Narodzenia, aby Dzieciątko Jezus przyszło i napełniło je darami.

Tadeusz Mildner

Panie „majster", gdzie „wasserwaga"?

Język naszych rzemieślników. — Skąd się wzięły germanizmy? — Oczyszczanie polskiego języka. — Rozmowa z inż. Stadtmüllerem.

Byłem w niemałym kłopocie...

Przeprowadzałem pewne ciesielskie i murarskie roboty w swoim mieszkaniu i — dziwna rzecz! — nie mogłem dogadać się z rzemieślnikami... polskimi.

Ja swoje, oni swoje...

Nie mogłem porozumieć się z polskimi rzemieślnikami, gdyż nie znałem języka a raczej żargonu rzemieślniczego.

Przychodzi cieśla. Mówię mu:

— W kuchni trzeba dać nową podłogę. Proszę mi powiedzieć, ile to będzie kosztowało.

— Czy pan sobie życzy podłogę *felcowaną?*

Zrobiłem — jak się to mówi — *wielkie oczy* i nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Poprosiłem o wyjaśnienie, co to jest owa *felcowana* podłoga. Dowiedziałem się, że deski są łączone przy pomocy listew i rowków w ten sposób, że listwa jednej deski wchodzi w rowek deski sąsiedniej.

Mówię dalej panu majstrowi, że zależy mi na pośpiechu.

— Praca po *fajerancie* będzie drożej kosztowała — brzmi odpowiedź.

Nie pytałem już o znaczenie tego potwora językowego. Kazałem sobie przedstawić sposób na wykonanie roboty. Po prostu uszy mi puchły, gdy pan *majster* zaczął swój wykład. A więc że przyniesie *wasserwagę*, aby podłoga równo leżała, że niektóre deski trzeba będzie *heblować*, aby lepiej *pasowały;* jak zaczął nasz piękny język polski *heblować, felcować, borować, szlicować, szpanować,* to aż strzępy z niego (z języka polskiego, nie z *majstra!*) leciały...

— Dlaczego pan używa tylu niemieckich słów? — spytałem.

Z kolei pan majster zrobił *wielkie oczy.*

— A czy są polskie?

Tym pytaniem przygwoździł mnie. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

A czy są polskie? To pytanie nie dawało mi odtąd spokoju.

Nową udrękę przechodziłem, gdy zjawił się murarz. I ten zaczął *gracować, rajbować, fugować* i *szprycować* naszą piękną polską mowę, że nie mogłem go zrozumieć.

Zresztą co się tu dziwić rzemieślnikom. Język naszej inteligencji, naszych dziennikarzy, a nawet literatów jest tak zachwaszczony obcymi, zwłaszcza niemieckimi wyrazami, że rumieniec wstydu występuje na twarz, ilekroć się o tym pomyśli.

Odzyskaliśmy polityczną niepodległość, ale nie wyzwoliliśmy dotychczas naszego języka z niewoli obcych naleciałości.

Z powodu naszego niedbalstwa niektóre niemieckie wyrazy tak się rozpanoszyły w naszej mowie, że rzadko kto potrafi je rozpoznać jako obce przybłędy. Tu należą takie wyrazy, jak *dach, ratusz, obcęgi, śruba, blacha, fach, kielnia* i t. p.

Chciałoby się krzyczeć silnym głosem: „Rodacy, czyż wam nie wstyd? Dość tego niechlujstwa! Najwyższy czas oczyścić polską mowę z obcych chwastów. Dalej tak być nie może! Musimy się wziąć do roboty, i to natychmiast!"

— — — — — — — — — — — — — — — —

Jak się to stało, że polskie słownictwo rzemieślnicze zostało zaśmiecone tyloma germanizmami?

Nie ulega wątpliwości, że pierwotny język słowiański posiadał dość rozwinięte słownictwo rzemieślnicze. Od XIII wieku słownictwo rodzime zaczęło na ziemiach polskich ustępować słownictwu niemieckiemu, przyniesionemu przez niemieckich kolonistów, którzy w tym czasie osiedlali się na terenach, wyludnionych wskutek najazdów tatarskich.

Polski rzemieślnik przechodził odtąd naukę rzemiosła u niemieckiego *majstra* i często nawet wyjeżdżał do Niemiec, aby tam pogłębić swe wyszkolenie zawodowe.

Napływ niemieckich *majstrów* do Polski trwał niemal do ostatnich czasów. Sprowadzano umyślnie specjalistów w różnych zawodach rzemieślniczych, aby polski rzemieślnik mógł się od nich nauczyć rzemiosła. Obok stron dobrych miało to tę złą stronę, że polski rzemieślnik przyjął wraz z nauką rzemiosła także słownictwo swego nauczyciela.

Dziś zadaniem polskich językoznawców jest odtworzyć nasze pierwotne rodzime słownictwo rzemieślnicze, co nie będzie rzeczą zbyt trudną, gdyż zachowało się ono u innych narodów słowiańskich.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Prace nad oczyszczeniem polskiego języka z obcych naleciałości prowadzone są od czasów przedwojennych. Na pierwszy ogień idzie oczywiście najbardziej skażone słownictwo techniczne. Nad utworzeniem polskiego słownictwa technicznego pracują komisje, przede wszystkim Komisja Słownictwa Technicznego Akademii Nauk Technicznych. Istnieją także komisje specjalne, pracujące nad pewnymi działami słownictwa. Tu należy komisja dla słownictwa żeglarskiego przy Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie, komisja dla słownictwa elektrotechnicznego przy Stowarzyszeniu Elektrotechników w Warszawie, komisja dla słownictwa gazowniczego przy Zrzeszeniu Gazowników i Wodociągowców Polskich w Warszawie, komisja dla słownictwa

Islamu". — „Trzeba żałować — pisze autor — że purytanizm przyczynił się do opóźnienia naszych wysiłków w kierunku rozszerzenia ideałów prawdziwego Islamu w świecie zachodnim... Zawsze patrzyłem na Islam, jako religię odpowiednią dla całej ludzkości... Gdy teraz nadszedł czas, to nie trzeba popełniać starych błędów"..

W zapale przesadził ten islamita londyński, ale nie zmienia to faktu, że Islam z powodów dobrze znanych, zaczyna znów się organizować i wzmacniać.

ARAB I TUREK.

Każdy zapytany o to, kto jest ze wszystkich ludów wschodnich najbardziej fanatycznym muzułmaninem, odpowiada bez wahania: Arab. Gdy przeczę, wskazuje mi Afrykę, Hiszpanię itd. Otóż to jest pomyłka. Podboje Arabów były prowadzone nie w imię rozszerzenia Islamu (za dowód może służyć taż sama Hiszpania), lecz w imię samych podbojów. Sztandar Proroka był hasłem, ale nigdy treścią. Pustynia wyrobiła w Arabie typ człowieka wolnego, który nigdy nie dałby się skrępować, nawet surowymi przepisami muzułmanizmu. Wiadomem dalej jest, że przesięwzięcie Mahometa zrobienia z Arabii ojczyzny najtwardszych zasad nie udało się. Przecież to Arabowie, a nie kto inny, dostarczali myślicieli, z którymi można było dyskutować nawet o najdrażliwszych punktach Koranu.

Oni jedni, obok Persów podróżują po świecie, gnani żądzą wiedzy lub interesami handlowymi, i tak zatracają swoją żarliwość. Podobnymi im są Persowie, a ich zaprzeczeniem Turcy. W Turka twardej i fanatycznej czaszce Islam był treścią i jedyną mądrością. Do dziś pozostał taki sam. — Twarde rządy Ataturka hamują wprawdzie jego rozpęd religijny, a wytwarzają ideologię nacjonalistyczną, ale to nie wprowadza zmian zasadniczych. Turek, w przeciwieństwie do myślącego Araba, jest muzułmaninem wierzącym i fanatycznym. I właśnie w Turcji, a nie gdzie indziej tkwiła i tkwi tajemnica niepowodzeń prób przenikania Chrystianizmu i opór przeciw niemu. Turcja dzięki swemu brutalizmowi, fanatyzmowi prostaka, wyrugowała świetny blaskiem jaśniejącej kultury Kalifat, a tolerancję i głęboką myśl zastąpiła zacofaniem i dzikim pędem nawracania. W niej, a nie gdzie indziej, trzeba szukać źródła teorii o nawracaniu „Ogniem i mieczem". Koran nie nawołuje do nawracania siłą. Teorię tę stworzyli Turcy. Oni to przez długie wieki stali na straży Islamu z mieczem i kołczanem, a podbiwszy resztę krajów muzułmańskich, stali się wyrazem Islamu.

Ciekawe jest, że pod panowaniem Turków, światłe umysły Arabów czy Persów, przekształciły się w ciemne i fanatyczne. Powstał nacjonalizm islamski. mocny, zwarty, nieczuły na wszystko co obce jego duchowi i jego naturze. I chociaż muzułmanin bawiąc w Europie wchłania naszą kulturę, a młodzież wróciwszy ze studiów europejskich chce wśród braci rozniecać światło Zachodu, by ich podźwignąć z gnuśności i konserwatyzmu — wszystko napróżno, każdy taki reformator pada ofiarą swego otoczenia. Harem przez długie jeszcze lata nie zniknie z horyzontu azjatyckiego.

TYPY RELIGIJNE.

A teraz jeszcze krótka charakterystyka wyznawców Islamu... Mahometanizm silniej może niż inne religie, ukształtował specyficzny typ duchowy swego wyznawcy. Z grubsza można wyróżnić dwa typy, pozornie mocno się różniące od siebie, ale w treści zgodne i jednakowe.

Pierwszy, to typ myślący, zagłębiający się w rozmyślaniu nad wielkością Allaha i tak szczerze przejmujący się swą wiarą, że całkowicie stosuje jej zasady w swym życiu. Ten typ stanowi dowód, że Islam nie nawoływał do czynnej walki, a z wyznawcy robił raczej człowieka bez woli i konserwatywnego...

Gdy Europa wyznaje zasadę: „times is money", „czas to pieniądz", — to u niego będzie nią: „bakałyn" — „zobaczymy", albo — „Eladżet min esz szeitan" — „pośpiech jest dziełem djabelskim", albo — „et teemi min en raaman" — „zwłoka jest dziełem Boga". Wartość pośpiechu, czasu i pracy zatracił ten typ całkowice. Jest on do tego łagodny, ospały, spokojny, flegmatyczny, szlachetny i pełen godności. Wszystko jedno, czy będzie to wieśniak, czy dostojny pasza.

Drugi, to typ czynny, ekspansywny. Jego miłość do Boga, to bezdenne morze uwielbienia, w które się rzuca po to, by w nim zatonąć bez reszty. Jego poezja, poezja dzikiego temperamentu, fantazji w przeciwieństwie do pierwszego typu będzie ognistą, płomienną i bogatą w idee i symbole. Ona go zagrzewa do walki czynnej, często nawet brutalnej.

Na dźwięk śpiewu muezzina pierwszy zatapia się w rozmyślaniu; drugi szaleje i rani swe ciało do krwi.

Na koniec powiedzmy: Islam przeszedł falę swego powodzenia, następnie upadku. A co jest dziś? Wypadki na Wschodzie wskazują, że Islam się budzi i ma chęć odegrania ważnej roli politycznej. Ale to jeszcze mało: rusza on na podbój dusz i umysłów. Europa zajęta swoimi sprawami zdaje się tego nie dostrzegać.

Ludwik Skoczylas

Ojciec Stasia Tarkowskiego

Było to w maju roku 1914. Uczyłem wówczas we Lwowie w gimnazjum Franciszka Józefa. Pewnego dnia zwrócił się do mnie Mieczysław Gieniusz, inżynier polski z Port-Saidu, w sprawie utworzenia ogniska religijnego w Polsce. Szło mu o stworzenie wielkiej biblioteki złożonej wyłącznie z dzieł religijnych, naukowych, która by dała początek poważnym studiom religijnym w Polsce. Na ten cel postanowił przeznaczyć cały swój majątek, jaki zebrał w ciągu wieloletniej pracy swej przy budowie kanału Sueskiego. Przyjechał do Polski, ażeby rozstrzygnąć sprawę wyboru miasta, w którym ognisko takie powstać by mogło. Rozmawiał już na ten temat z Wincentym Lutosławskim. Prof. Lutosławski doradzał mu Kraków. Skądinąd jednak ciągnięto go do Warszawy. Byli także tacy, którzy oświadczali się za Lwowem. Ta ostatnia okoliczność skłoniła go do przyjazdu do Lwowa. Między innymi chciał także zasięgnąć mojej skromnej opinii.

Przyznam się, że propozycja p. Gieniusza zaskoczyła mnie, wydawała mi się bowiem pomysłem niesłychanie oryginalnym i jak — na nasze stosunki — conajmniej dziwnym. Był to czas największego napięcia ruchu niepodległościowego w kraju, a we Lwowie, zwłaszcza wśród młodzieży wrzało. Wszyscy liczyli się z możliwością wojny europejskiej i rozwiązania złączonej z nią w sposób nieunikniony sprawy Polski. W tych warunkach inicjatywa inżyniera polskiego z Egiptu wydawała się utopią, płodem jakiegoś nierealnego sposobu myślenia. Niemniej jednak postanowiłem nie zrażać p. Gieniusza i starałem się wejść w głębsze pobudki jego projektu. Dlatego zapytałem go wprost co go właściwie skłania do realizacji tak odbiegającego od naszej rzeczywistości pomysłu. Dopiero wtedy p. Gieniusz otwarł mi całą swoją duszę. Od wielu lat przebywał wraz z żoną swoją poza granicami Polski, pracując przeważnie w przedsiębiorstwach angielskich. Zaangażowany do budowy Kanału Sueskiego, zamieszkał w Port-Said w Egipcie. Pomimo doskonałych warunków materialnych tęsknił ustawicznie za krajem. Jedyną osłodą jego tęsknoty był nieletni syn, którego w przyszłości miał zamiar wysłać na studia do Polski. Lecz niebawem spadł na na niego straszliwy cios. Oto jacyś bandyci abisyńscy, zajmujący się handlem niewolnikami, porwali jego najukochańsze dziecko i uprowadzili w niewiadomym kierunku. Mimo energicznych poszukiwań władz angielskich chłopca nie udało się nigdy odnaleźć. Prawdopodobnie zginął z trudów i wycieńczenia. Historię tego porwania opowiedział stroskany ojciec Henrykowi Sienkiewiczowi, który unieśmiertelnił pamięć chłopca, wprowadzając go w roli bohatera w powieści dla młodzieży „W pustyni i w puszczy". Od chwili straty tego chłopca rodzice nie mogli się w swoim żalu utulić. Żona p. Gieniusza wkrótce potem ze zmartwienia zmarła. On sam jakby stracił wszelki cel życia swojego. Przeżywał długie miesiące depresji. Gdy razu pewnego szedł brzegiem Nilu, spotkał jakiegoś starego Egipcjanina. Egipcjanin ten obdarzony fenomenalną zdolnością jasnowidzenia rozwinął przed nim, jakby film najdokładniejszy, obraz przeszłości p. Gieniusza. Wreszcie zakończył rozmowę w ten mniej więcej sposób:

„Opatrzność wybrała pana za narzędzie wyższych swoich celów. Nieszczęścia, które pana spotkały były celowe i konieczne, aby w panu rozbudzić głębszy sens życia. Pojedzie pan do ojczyzny, która wnet będzie wolna. Polskę czekają wielkie przeznaczenia i wielka przyszłość, ale nie pod względem mocarstwowo-państwowym, ale religijno-moralnym. Trzeba w niej rozbudzić wyższe życie duchowe, które w niej zamarło".

Od czasu tej rozmowy zajął się p. Gieniusz studiami religijnymi. Powoli przygotowywał się do roli, jaką mu określił ów dziwny Egipcjanin. Uwierzył w swoją misję. Ale na przybycie do Polski w roku 1914 wpłynął jeden drobny, ale ważny wypadek. Oto w pewnym towarzystwie religijnym,

(Dalszy ciąg na str. IV.)

leśnego przy Ministerstwie Rolnictwa oraz komisja dla słownictwa wojskowego przy Wojskowym Instytucie Naukowo-Wydawniczym w Warszawie.

Owocem wysiłków nad tworzeniem polskiego słownictwa są ukazujące się od czasu do czasu słowniki, wśród których na wymienienie zasługują szczególnie Słownik morski i Polski słownik techniczny.

Jednym z niestrudzonych pionierów, kładących podwaliny pod polskie słownictwo techniczne, jest inż. Karol Stadtmüller. Znany jest on w kołach techników i rzemieślników jako fanatyczny miłośnik języka polskiego, jako gorliwy tępiciel wszelkiej obcej, zwłaszcza niemieckiej ohydy, która się wdarła do polskiej mowy, stanowiąc w niej wrzód i psując jej piękność.

Dziwny człowiek! Tak rzadko kto w Polsce dba o czystość mowy, tak chętnie z lenistwa bierze się i przyswaja pierwsze z brzegu wyrazy obce, a on uparł się i chce rodaków nauczyć mówić po polsku...

Nie zraża się trudnościami. Wydał zaciętą walkę obcym przybłędom językowym i nie ustępuje ani na krok.

A ma to już we krwi, jak sam mówi „jest dziedziczne obciążony", gdyż jego ojciec, ś. p. inż. Karol Stadtmüller, również pracował nad utworzeniem polskiego słownictwa technicznego.

Pociągnięty zainteresowaniami inż. Stadmüllera, wybrałem się do niego do domu...

Na Nową Wieś kawał drogi. Ulica Urzędnicza. Znam, znam tę ulicę.. Toż to przy niej znajduje się owa sławna parcela, przez pomyłkę sprzedana żydowi na licytacji...

Mijam parcelę i szukam numeru dwunastego. Jest...

Gospodarz przyjmuje mnie, zadowolony z celu mych odwiedzin. Słownictwo techniczne!... Polskie!... Ha! to jego żywioł!

Na biurku porozkładane karteczki. Oczywiście „słóweczka". Cóżby innego! Świetnie się składa... Zastałem autora „Słownika technicznego" na „gorącym uczynku" — „słowotwórstwa"...

Jako miłośnik muzyki lubię zaczynać *da capo*.

— Odkąd pan inżynier pracuje nad polskim słownictwem technicznym?

— Naprzód muszę wspomnieć o pracy mego ojca. Pracę nad utworzeniem polskiego słownictwa technicznego rozpoczął mój ojciec w r. 1877 przy objęciu stanowiska profesora Szkoły Przemysłowej w Krakowie. Ja ją prowadzę dalej. Współpracowałem z ojcem od roku 1905, aż do jego śmierci, w roku 1918. W roku 1900 zawiązała się przy stowarzyszeniu Techników w Warszawie komisja, której zadaniem było wydanie podręcznika technicznego p. tyt. „Technik" i oczyszczenie języka z naleciałości obcych, a szczególnie z germanizmów. Komisja wydała dwa podręczniki (w r. 1905 i 1908) i stworzyła około 6.000 nowych wyrazów polskich.

Notuję skrzętnie wszystkie wyjaśnienia, a mój rozmówca mówi dalej:

— W r. 1912 wyszedł drukiem pierwszy ogólny słownik techniczny niemiecko-polski, zawierający 70.000 terminów. Autorami byliśmy ojciec i ja. W r. 1920 Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy podjął się wydrukowania drugiego wydania części niemiecko-polskiej. Drugie wydanie ma 107.000 terminów. W bieżącym roku wyszła część polsko-niemiecka, obejmująca 120.000 terminów.

Zapytuję o słownictwo rzemieślnicze. Inż. Stadtmüller zapala się jeszcze bardziej i objaśnia:

— Celem dania rzemieślnikom do ręki gotowego materiału terminologicznego, jak należy mówić, opracowałem „S ł o w n i c t w o r z e m i e ś l n i c z e" w jedenastu zeszytach, które wydane zostały przez Miejskie Muzeum Przemysłowe w Krakowie.

— Nad czym pan inżynier obecnie pracuje?

— Zeszłego roku Związek Polskich Hut Żelaznych zwrócił się do mnie z prośbą o ustalenie słownictwa hutniczego, zestawionego przez pięćdziesięciu hutników. Obecnie staram się o ustalenie słownictwa tkactwa, przędzalnictwa i włókiennictwa.

Z dalszych wyjaśnień inż. Stadtmüllera wynika, że jest on zwolennikiem korzystania ze słownictwa innych narodów słowiańskich. Trudność leży jednie w tym, że niestety nasi technicy przeważnie nie znają języków słowiańskich i to jest główną przyczyną, że praca nad oczyszczeniem polskiego języka idzie tak powoli.

— By móc korzystać z języków słowiańskich — mówi inż. Stadtmüller — wskazane jest powołanie slawistów, którzy by w odpowiedni sposób byli pomocni.

Na temat polskiego słownictwa technicznego można by rozmawiać z inż. Stadtmüllerem godzinami. Ani się spostrzegłem, jak na zajmującej pogawędce upłynęła godzina.

Wracając do domu pomyślałem sobie:

Jakie to smutne, że sprawą czystości polskiego języka zajmują się tylko jednostki. Ten brak zainteresowania dla tak żywotnej sprawy jest zdumiewający.

Dlaczego nie ma u nas instytucji, która by była powołana do stania na straży czystości języka i której nakazy byłyby uważane za powszechnie obowiązujące i natychmiast wprowadzane w życie? Każdy nowy wyraz polski, przyjęty w miejsce obcego, powinien być podany do wiadomości ogółu i odtąd używanie usuniętych obcych wyrażeń powinno być piętnowane jako narodowe przestępstwo.

Jedynie w ten radykalny sposób możemy się pozbyć wrzodu, szpecącego nasz język w postaci obcych, zbędnych wyrażeń.

złożonym z Anglików, było jakieś niezwykłe medium. Medium to miało widzenie, którego treść wstrząsnęła p. Gieniuszem do głębi. Owo widzenie, o którym relacjonował p. Gieniusz za powrotem do Polski w jednym z periodyków warszawskich. miało przebieg następujący: Medium widziało w transie kartę Europy, zalanej krwią. Po jakimś czasie medium zobaczyło od strony wschodniej anioła, który powiedział słowo: Pokój! Jemu odpowiedział srebrny anioł od strony zachodniej słowem: Pokój! Te same słowa wypowiedzieli aniołowie północy i południa. Wtedy krew zalewająca kartę Europy zniknęła z całego jej obszaru. Na mapie została tylko jedna mała plamka krwi, która zaczęła się szybko rozszerzać, aż wreszcie przybrała kształt niedużego serca. Na sercu ukazał się napis: „Poland“! I znowu po chwili usunęła się krew z całego terytorium Polski, a na miejscu krwi ukazało się źródło żywej wody. Jak przed tym krew, tak teraz fale wody zaczęły pokrywać obszar Polski, a stąd przechodzić na całą Europę. A gdy cały świat pogrążył się pod tymi falami, woda zaczęła mówić, szepcząc wciąż jeden wyraz: „Atman“ (Bóg). A wówczas aniołowie czterech stron świata upadli na twarz i podnieśli hymn na cześć Boga.

Widzenie powyższe skomentował p. Gieniusz w następujący sposób. „Jesteśmy — mówił — w przededniu wojny światowej, z której wyjdzie Polska w granicach przypominających kształt serca. Po tym ma nastąpić odrodzenie religijne, bo woda oznacza łaskę bożą. Odrodzenie zacznie się w Polsce i stąd rozejdzie się po całym świecie. Musi jednak być współdziałanie z łaską samych Polaków. A właśnie nasza religijność tradycyjna i przeważnie naiwna musi wyjść z tego pierwotnego stanu, musi pogłębić się intelektualnie, musi stać się świadomą sprężyną naszych czynów. Dlatego należy już teraz zacząć pracę nad przygotowaniem narodu do jego wielkiej misji i w tym celu przyjechałem do Polski, bo czas już zacząć!“

Przy tych słowach łagodne oczy Gieniusza zabłysły energią i siłą niezłomnej wiary. Mimo wszystko, co mówił, wydawał mi się gościem z innego świata, marzycielem mistycznym, jakąś zjawą raczej, a nie człowiekiem realnym. Pobyt Gieniusza we Lwowie nie trwał długo. Dokąd wyjechał potem, nie wiem. Natomiast wiem, że po odzyskaniu niepodległości, którą tak kategorycznie przepowiadał, zamieszkał w Warszawie, gdzie zaczął krzątać się koło założenia ogniska studiów religijnych. Niebawem jednak rychły zgon przerwał tę pracę. Ś. p. inżynier Gieniusz zapisał cały majątek na cele realizacji swej idei. O ile mi wiadomo, majątek ten stopniał skutkiem dewaluacji. Ale idea ś. p. Gieniusza okazała się żywą i aktualną. Dziś bowiem staraniem Akcji Katolickiej powstają Instytuty Wiedzy Religijnej, które tę samą myśl, jaka była ideą życia ś. p. Gieniusza, realizują. Ś. p. Gieniusz był gorącym katolikiem. Zetknąwszy się z ezoteryczną wiedzą Wschodu szukał rozwiązania swych wątpliwości na tej drodze. Poszukiwania jego jednak skończyły się rozczarowaniami. Pod koniec życia zwrócił się całym sercem do katolicyzmu. Przed 20 laty zaczął rzucać idee, które dopiero dziś są rozumiane.

Idea odrodzenia religijnego łączyła się w umyśle ś. p. Gieniusza z misją odrodzonej Polski. Mesjanizm jego ma charakter ściśle katolicki, wiąże się z dziejami polskiej kultury i jest wytworem rasowo polskim. Posiada mimo to jakąś ogólnoludzką dynamikę i zasięg kosmiczny, gdyż wyrasta z gruntu katolickiego. Ś. p. Gieniusz doszedł do tej idei drogą wielkich cierpień i poświęceń. Mesjanizm jego nie jest suchą doktryną, nie powstał ze spekulacji filozoficznej. Był ideą żywą, zrodzoną z najszlachetniejszych pierwiastków duszy polskiej. Dlatego uważałem za mój obowiązek moralny podać do wiadomości publicznej garść wspomnień o charakterze intymnym w tym przekonaniu, że nie popełniam żadnej niedyskrecji z chwilą, gdy dziś całe katolickie społeczeństwo polskie po tej samej kroczy drodze z tą różnicą, że może nie widzi ostatecznych celów swych dążeń tak jasno, jak je przewidywał ś. p. Mieczysław Gieniusz.

Ludwik Piotrowicz

Mari

Odgrzebane miasto sprzed 4.000 lat

Poszukiwania archeologiczne na terenie Syrii, prowadzone z wielką usilnością od czasu objęcia tu rządów przez Francję w formie mandatu Ligi Narodów, uwieńczone zostały ostatnio nowym sensacyjnym niemal rezultatem, jakim jest odkrycie ruin przebrzmiałego od tysięcy lat miasta Mari nad środkowym Eufratem, a z nim nowego ogniska prastarej kultury z III tysiąclecia przed Chr. Jak w wielu podobnych wypadkach, pobudkę do podjęcia tych badań dał przypadek. W sierpniu mianowicie 1933 r. porucznik Cabane, oficer garnizonu francuskiego, stojącego w Abu-Kémal, nędznej mieścinie (2.200 mieszkańców), położonej nad Eufratem w odległości 450 km. na południowy wschód od Alepu i tyleż na północny zachód od Bagdadu, a 650 km. na wschód od Beyrutu i Morza Śródziemnego, na samym niemal pograniczu mandatu francuskiego i Iraku, dowiedział się, że tubylcy przy kopaniu grobu na stoku niewielkiej wyniosłości (do 15 m. nad poziomem otaczającej ją równiny), oddalonej od miasteczka o 12 km, zw. Tell Hariri, znaleźli duży posąg kamienny bez głowy z archaicznym napisem klinowym. Cabane zainteresował się znaleziskiem, zabezpieczył je przed zniszczeniem i przesłał wiadomość o niem do urzędu archeologicznego przy Komisariacie francuskim w Beyrucie. Archeologowie francuscy po zbadaniu sytuacji na miejscu uznali, że poszukiwania na tym terenie rokują istotnie pomyślne rezultaty; to też z ramienia dyrekcji Muzeum Narodowego w Luwrze zorganizowano natychmiast ekspedycję wykopaliskową, na czele której stanął A. Parrot oprócz czterech innych pracowników naukowych.

Podjęte w grudniu 1933 r. prace, kontynuowane odtąd corocznie w miesiącach zimowych, przyniosły wręcz sensacyjne wyniki, mimo że odsłonięto dotąd zaledwo drobną część terenu. Natrafiono bowiem szczęśliwym trafem na szczególniej interesujące części miasta, a mianowicie świątynię bogini Isztar i pałac miejscowych władców. Już jednak te odkrycia pozwoliły stwierdzić, że wzgórze Tell Hariri kryje w swym wnętrzu resztki prastarego miasta Mari, znanego dotąd z kilku zaledwo wzmianek w tekstach klinowych z III tysiąclecia przed Chr. i początków II. Pod warstwą ziemi, piachu i gruzu zachowały się dobrze do wysokości często 5 m. substrukcje dawnych budynków, wzniesionych przeważnie z cegieł surowych, a nadto ogromna masa zabytków, dotyczących wewnętrznego urządzenia, freski, mozaiki, rzeźby, naczynia, broń i, — co dla historyków najcenniejsze — olbrzymia ilość tabliczek glinianych z napisami klinowymi w liczbie około 15.000, pochodzących z archiwum pałacowego.

Odcyfrowanie i opracowanie tego materiału, czym zajął się genialny orientalista francuski Thureau-Dangin wraz z sztabem całego szeregu specjalistów (G. Dossin, Ch. Jean, Boyer, Nougayrol, Rutten) potrwa niewątpliwie czas dłuższy, ale już to, co dotąd stwierdzono i opublikowano, pozwała na określenie charakteru i czasu odkrytych zabytków i rzuca niezmiernie ciekawe światło na dzieje i cywilizację obszarów położonych nad środkowym Eufratem w III tysiącleciu przed Chr. Okazuje się, że na tym terenie istniała poważna osada już w IV tysiącleciu przed Chr. Stanowiła ona rezydencję władców, którzy rozciągnęli swą supremację daleko na południe, skoro „dynastia z Mari“ widnieje jako dziesiąta w oficjalnych listach babilońskich, sięgających do na pół mitycznych czasów „po potopie“. Do tej najdawniejszej warstwy wykopaliska Parrota sięgnęły tylko w jednym miejscu, a mianowicie na terenie świątyni bogini Isztar, która posiadała tu 3 prawdopodobnie przybytki, zbudowane jeden na gruzach poprzedniego lub rozszerzone w różnych odstępach czasu. Kulturalnie pozostawało to miasto pod wpływem sąsiadów południowych — Sumeryjczyków, znaleziono bowiem w tej warstwie zabytki, wykazujące uderzające podobieństwo do współczesnych tworów z terenu sumeryjskiego.

W następnym okresie czasu, który można w przybliżeniu określić na początek III tysiąclecia przed Chr., powstała na gruzach dwóch dawniejszych trzecia świątynia bogini Isztar, do której ówczesny król Lamgi-Mari, ofiarował swój posąg, znaleziony przy wykopaliskach, a nadto i świątynia boga Szamasz, z której pochodziła niewątpliwie statua archaiczna, znaleziona w r. 1933 przez por. Cabane'a. Najazd króla sumeryjskiego Eannadu z Lagasz (ok. 2.800) spowodował ruinę świątyni i zapewne osłabienie miasta, które z trudnością stawiało opór sąsiadom semickim z miasta Agade, pod wodzą znanych skądinąd zdobywców, Sargona i Naramsina (ok. 2.700 — 2.600). Jakie następnie koleje przechodziło Mari, nie wiadomo; to jednak pewne, że pod koniec III tysiąclecia przeżyło miasto okres nowego świetnego rozkwitu, którego dokumentem są dziś resztki odnowionej świątyni Isztar i zwłaszcza ruiny olbrzymiego pałacu. Wykopaliska w r. 1935 i 1936 odsłoniły ogółem 138 ubikacji, zgrupowanych wokół kilku dziedzińców, o potężnych murach z cegieł surowych, ozdobionych często freskami, z łazienkami, salami szkolnymi, archiwalnymi, magazynami, kuchniami i t. p. Wspomniany wyżej zbiór tabliczek pochodzi właśnie z tego pałacu i to, rzecz szczególna, niemal wyłącznie z czasów ostatniego króla imieniem Zimrilim, który, jak widzimy z pozostawionych dokumentów, był współczesny sławnemu władcy Babilonu Hammurabiemu (z XX w.). Treścią ich jest korespondencja dyplomatyczna Zimrilima, otrzymywana od jego ambasadorów, posłów czy szpiegów na obcych dworach (tak np. opublikowane przez Thureau-Dangina w Revue Archéologique 1936 sprawozdanie z audiencji u króla Hammurabiego), od synów królewskich i sąsiednich władców (między nimi i od Hammurabiego), dalej sprawozdania urzędników o stanie rolnictwa i różnych kwestiach natury administracyjnej, listy wreszcie dotyczące stosunków handlowych z sąsiadami. Wszystko to materiał nieocenionej wręcz wartości dla poznania historii, życia politycznego i gospodarczego, wierzeń religijnych i poziomu kultury obszarów położonych nad środkowym Eufratem, tudzież krajów sąsiednich ok.

Irena Turowska

F. Brunetière — herold wiary

Przed laty trzydziestu Wiktor Giraud w książce poświęconej pamięci swego profesora i mistrza, Ferdynanda Brunetière'a podnosi wielki idealizm i nieznużoną obronę religii prowadzoną przez tego niepospolitego krytyka i essaisty francuskiego.

Słowa Girauda nabrzmiałe szczerym entuzjazmem i świeżym żalem z powodu niedawnego zgonu wielkiego Brunetièra były ledwie słabym echem tych myśli i uczuć, jakie umiał obudzić zarówno swymi pismami, jak i znakomitymi przemówieniami znakomity uczony wśród współczesnych. Wyszedłszy ze szkoły pozytywizmu i materializmu znalazł istotne rozwiązanie dla zagadnień naukowych i dla problemów społecznych w katolicyzmie. Droga, którą odbył od liberalizmu do katolicyzmu nie była prosta i łatwa. Tajemnicę wewnętrznego przeobrażenia i zmiany poglądów odsłania jego hasło: „Soyons donc idealistes!“, które Brunetière rzucił w jednym ze swych najwspanialszych odczytów wygłoszonym 2 lutego 1896 w Besançon na temat odrodzenia idealizmu.

„La reneissance de l'idealisme“ — odczyt głoszący bezsilność wiedzy wobec zagadnień świata nadprzyrodzonego, wywołał istną burzę, ale niedlatego by współcześni bronili się przed idealizmem, by nie zgadzali się na konieczność radykalnych reform społecznych, ale dlatego, że Brunetière — apostoł idealizmu najdoskonalsze jego wcielenie widział w katolicyzmie.

Poglądy, które podlegały namiętnemu zwalczaniu, wypowiadane przez Brunetière'a-konwertytę, przez Brunetière'a-bojownika idealizmu, niestety, u nas zbyt mało są jeszcze znane, chociaż dzisiaj nie mniej, ale bardziej może nawet wydają się aktualnymi, niźli w ostatnim dziesiątku ubiegłego stulecia.

Wówczas podziwiano Brunetière'a, jako erudytę, zachwycano się jego wymową, podnoszono jego zasługi jako pedagoga, ale jednocześnie oburzano się i zwalczano Brunetière'a idealistę, obrońcę praw niedających się objąć zwykłym kręgiem ludzkiej świadomości, wkraczających w sferę nadprzyrodzonych pojęć wiary.

Jeszcze w latach 1886—1890 Brunetière był pozytywistą i antyklerykałem — w tym duchu wygłaszał słynne wykłady o sztuce dramatycznej w Odeonie, z których powstała książka **„Les époques du theâtre français“**, dopiero studia na Bossuetem stały się pierwszym etapem zbliżenia z religią, a gdy 15 maja 1891 roku ukazała się wielka encyklika „Rerum novarum“, Brunetière, który tak żywo interesował się sprawami społecznymi i szukał rozwiązania dla coraz bardziej zaogniającej się walki klas — uświadomił sobie wysokie wartości moralne katolicyzmu, jego niespożytą energię, a przede wszystkim jego rolę społeczną. Bezpośrednio jednak nie zajął wobec apelu Leona XIII wyraźnego stanowiska, zato jego dwaj uczniowie Goyau i Brunhes ogłosili w 1892 roku broszurę p. t. **„Du toast a l'Encyclique“**, wyrażając imieniem całego młodego pokolenia katolickiej inteligencji francuskiej swój entuzjazm dla wskazań papieża.

Za moment przełomowy, za publiczne wyznanie wiary przez Brunetière'a można uważać jego artykuł ogłoszony po audiencji u Papieża 27 XI 1894 w „Revue des deux mondes“ z 1895, zatytułowany: **„Après une visite au Vatican“**. Dokoła artykułu rozgorzała, jak wiadomo, gorąca polemika, stał się on przedmiotem publicznych dyskusji, choć w istocie Brunetière nie dał tu żadnych rewelacyj, może był nawet bardziej umiarkowany i ostrożny w krytyce pozytywizmu i naturalizmu, niż w poprzednich artykułach, tylko tu zbyt jasno i wyraźnie wykazał żywotność katolicyzmu, zbyt jaskrawo poparł tezy cytatami z encyklik i listów pasterskich, dochodząc do ostatecznej konkluzji, że moralność i reformy społeczne powinny oprzeć się na katolicyzmie, który nie jest wrogiem ludzkości, prawdziwej nau-

Adam Bar

Starania Brodzińskiego o doktorat filozofii

W r. 1821 Komisja rządowa wyznań religijnych i oświecenia publicznego zamianowała K. Brodzińskiego profesorem liceum warszawskiego; równocześnie na wniosek Szwejkowskiego i Bentkowskiego został on „członkiem przybranym“, zaś w dwa lata później członkiem czynnym Towarzystwa Przyjaciół Nauk. W r. 1822 otrzymał katedrę „historii krytycznej literatury polskiej“ w uniwersytecie warszawskim, jako profesor nadzwyczajny. Wedle ustawy uniwersyteckiej profesorem zwyczajnym mógł zostać dopiero po otrzymaniu stopnia doktora filozofii; ponieważ jednak uniwersytet warszawski nie udzielał doktoratów z literatury, przeto w połowie 1822 r. zwrócił się Brodziński z tą sprawą do Uniwersytetu Jagiellońskiego, prosząc, aby na podstawie jego dotychczasowej pracy literacko-naukowej udzielił mu stopnia doktorskiego. Co się stało z jego prośbą, niewiadomo, ponieważ nie ma jej w archiwum uniwersyteckim, brak również jakichkolwiek śladów, aby pismo tej treści nadeszło. Brodziński jednak był cierpliwy i długo czekał na odpowiedź Uniwersytetu. Nie otrzymawszy wreszcie żadnej wiadomości o jego decyzji, dn. 1 lipca 1823 r. pisze po raz drugi „Do Prześwietnej Rady Uniwersytetu Krakowskiego“ obszerny list, w którym wspomina, że już przed rokiem prosił Uniwersytet o nadanie mu doktoratu z literatury, że statut uniwersytetu warszawskiego wymaga do uzyskania tego stopnia również złożenia egzaminu z „umiejętności ścisłych“, którymi się nigdy nie zajmował. „To mię skłoniło — wyjaśnia — udać się do Prześ. Rady Uniwersytetu Krakowskiego, którego ustawy tej nie mają trudności, i w którym literatura, jako ars humanitatis, ma zależny swój zaszczyt“. Równocześnie złożył na poparcie swojej prośby dwie rozprawy: jedna „O satyrze“, druga „O elegii“, nadmieniając przy tym, że w swoim dotychczasowym dorobku literackim ma rozprawę **„O klasyczności i romantyczności“**, **„Myśli o dążeniu polskiej literatury“**, dwa tomy poezyj, tłumaczenie tragedii Raynouard'a p. t. **„Templariusze“** i szereg artykułów, ogłoszonych w **„Pamiętniku Warszawskim“**. „Gdyby te prace — dodaje — zyskały mi stopień profesora historii literatury polskiej oraz sekretarza w Uniwersytecie tutejszym, niemniej członka czynnego w Tow. Król. Warsz. Przyj. Nauk, śmiem sobie pochlebiać, iż dotychczasowe usiłowania moje w zawodzie nauk zdołają mi pozyskać względy Prześwietnej Rady. Staraniem mojem będzie godnie im odpowiedzieć w dalszym moim zawodzie, którego jedynym celem jest historia literatury ojczystej“. Prosi wreszcie, bez względu na decyzję Rady, o odpowiedź, „abym wiedział jak się mam rozrządzić w przedmiocie, na którego rozstrzygnięciu wiele mi zależy“. (Rks Archiwum Uniw. Jagiell. Akta Senatu, fasc. 45. Literatura Polska).

Tym razem już zanotowano w „Dzienniku podawczym Wielkiej Rady Uniwersytetu Jag.“, że dnia 14 lipca wpłynęło pismo Brodzińskiego, i że sprawa została oddana do zreferowania prof. Słotwińskiemu, członkowi Wielkiej Rady, będącej wówczas najwyższym ciałem Uniwersytetu. Słotwiński zreferował sprawę nieżyczliwie dla Brodzińskiego. Zdaje się, że w imieniu Uniwersytetu czuł się obrażony jego twierdzeniem, iż w Krakowie od kandydatów do stopnia doktorskiego z literatury nie wymaga się również egzaminu z nauk ścisłych, tzn. z matematyki i fizyki. Zawiadomił Radę, że do tej prośby nie można się przychylić, tym bardziej, iż „obejmuje w sobie to mniemanie, jakoby w Uniwersytecie tutejszym stopień doktora nie wymagał dopełnienia przepisów, jakie w Uniwersytecie warszawskim zachodzą, a nawet w każdym innym na sławę swoją nie obojętnym zachodzić powinny“, zaś literackie prace Brodzińskiego mogą być jedynie podstawą do zaproszenia go na członka Towarzystwa Naukowego Krakowskiego. Czyli profesor uniwersytetu warszawskiego również i w Krakowie, celem uzyskania stopnia doktorskiego z literatury, musiał składać egzamin z fizyki i matematyki. Referat w tym duchu przedstawił Słotwiński na posiedzeniu Wielkiej Rady, dnia 15 listop. 1823 r., które odbyło się pod przewodnictwem prezesa Senatu Rządzącego, Wodzickiego, w obecności jej członków: biskupa krakowskiego, prezesa apelacji Nikorowicza, konserwatorów Konowskiego, Krzyżanowskiego i Markowskiego, delegata Reprezentacji Słotwińskiego i em. prof. Kosteckiego. Wielka Rada przychyliła się ostatecznie do refetatu Słotwińskiego. (Protokół obrad Wielkiej Rady Uniw. Jagiell., rks 362 Archiwum Uniw. Jagiell.). W tym samym dniu zredagowano oficjalną odpowiedź do Brodzińskiego, w której Wielka Rada oświadcza, iż „lubo przekonana jest, że talenta i znakomite pisma p. Brodzińskiego w materii literatury ojczystej wydane, nadają Mu słuszny tytuł do dostojności akademickich, jednak gdy Uniwersytetowi naszemu stopień doktora sectionis litterariae, jako jednego tylko oddziału Wydziału filozoficznego, nie jest znanym, kandydat zaś życzący otrzymać stopień doktoratu trzy egzamina, pierwszy z właściwej filozofii teoretycznej i praktycznej, drugi z matematyki i fizyki, trzeci z historii powszechnej złożyć i oprócz tego świadectwami z nauk posiłkowych wykazać się winien“, przeto również Brodziński, jeżeli chce otrzymać stopień doktora, musi się poddać wszystkim wspomnianym egzaminom. (Rks. Archiwum Uniw. Jag. Akta Senatu, fasc. 45. Literatura Polska).

Dodać należy, że warunki uzyskania stopnia doktora filozofii, wedle powyższych wymagań, było o wiele cięższe aniżeli — habilitacja. Kilka lat przed tym habilitował się w Uniw. Jag. Paweł Czajkowski, mierny naukowiec, trochę poeta w duchu klasycznym, tłumacz Woltera, a w chwili, gdy rozstrzygała się sprawa Brodzińskiego, już profesor literatury i dziekan wydziału filozoficznego. Otóż zachował się protokół z jego colloquium habilitacyjnego, który w porównaniu z tym, czego wymagano od Brodzińskiego był dziecinnym egzaminem.

W ten sposób zdawało się, że po referacie Słotwińskiego i przygotowaniu oficjalnej odpowiedzi na prośbę Brodzińskiego, czekając tylko na podpis prezesa Wodzickiego, sprawa ta w Uniwersytecie Jagiellońskim już bezapelacyjnie przepadła. Tymczasem zaszedł niespodziewany zwrot na jego korzyść; nie wiadomo czy wskutek inicjatywy Wodzickiego, który miał wątpliwość, czy uchwała Wielkiej Rady jest istotnie słuszna, czy też z innej przyczyny; dość, że na piśmie do Brodzińskiego znajduje się notatka sekretarza Wielkiej Rady Darowskiego, że „tę ekspedycją wstrzymać polecono“.

Na następnym posiedzeniu Wielkiej Rady dnia 17 grudnia, Wodzicki znowu tę sprawę porusza, stawiając wniosek, aby jeszcze przed ostateczną decyzją zasięgnąć opinii Senatu Akademickiego, podlegającego wprawdzie Wielkiej Radzie, z którą jednak Wodzicki poważnie się liczył. Wniosek Wodzickiego uchwalono w tym sensie: czy ze stanowiska prawnego Brodziński może otrzymać doktorat, czy „w duchu pomienionych przepisów Statutu, służy prawo rzeczonym oddziałom wydziału filozoficznego, wydawania stopni doktorskich na przedmioty każdemu z nich właściwe, lub też, czyli takowa prerogatywa służy jedynie połączonemu wydziałowi filozoficznemu, i dyplomata doktorskie nie inaczej, jak posiadającym nauki do obydwóch tych oddziałów należące, na stopień doktoratu filozofii w ogólności wydawanemi być mogą. Opinia ta — czytamy wreszcie w oficjalnym liście Wielkiej Rady do Senatu — posłuży Radzie do dania stosownej p. Brodzińskiemu odpowiedzi“. (Protokóły obrad Wielkiej Rady Uniw. Jag., Rks. 362 Archiwum Uniw. Jag.).

Posiedzenie Senatu Akademickiego odbyło się dnia 14 stycznia 1824 r., pod przewodnictwem prorektora Gertlera. Sprawą Brodzińskiego Senat zajął się bardzo sumiennie, i uchwalił wreszcie odpowiedź dla niego przychylną. Można przypuszczać, że przyczynił się do tego również Paweł Czajkowski, który jako dziekan należał do Senatu, a który, jakkolwiek oficjalnie klasyk, życzli-

(Dalszy ciąg na str. VI.)

2.000 lat przed Chr., materiał może równie cenny jak korespondencja dyplomatyczna królów egipskich Amenofisa III i IV z XIV wieku, znaleziona w r. 1887 w El Amarna w środkowym Egipcie. Należy się też spodziewać, że archiwalia poprzedników Zimrilima odnajdą się jeszcze w niedokopanych dotąd częściach pałacu. Nazwiska ich są zresztą w pewnej części już znane, zachował się nawet duży posąg diorytowy jednego z nich (Isztupilum ok. 2.100). Świadectwem wysokiego rozkwitu sztuki jest m. in. znaleziona w pałacu piękna statua bogini urodzaju, trzymającej oburącz naczynie, z którego wypływała woda, fragmenty malowideł ściennych, nadto szereg figur i figurek z świątyni bogini Isztar, które stanowiły pobożne wota czcicieli.

Świetność miasta i państwa Mari nie trwała jednak długo. Już bowiem za króla Zimrilima spadł na nie druzgocący cios ze strony wielkiego Hammurabiego. Prawdopodobnie zastraszony postępami potęgi babilońskiej nawiązał król Mari porozumienie z przeciwnikami Hammurabiego, zwłaszcza z królem Rim-sinem z Larsy, przez co ściągnął na siebie gniew sąsiada. W 3 lata po złamaniu Rim-sina ruszyli Babilończycy przeciw Zimrilimowi, który, uginając się przed przemocą, uznał nad sobą zwierzchnictwo Babilonu. Podniesione w dwa lata później powstanie celem zrzucenia supremacji Hammurabiego skończyło się tragicznie. Miasto uległo zupełnemu zniszczeniu, z którego już nigdy się nie podniosło. Dopiero w kilkaset lat później, w XIII w. przed Chr., zbudował sobie tutaj rezydencję, jak widać z odnalezionych przy wykopaliskach resztek, asyryjski gubernator kraju, ale ta próba odnowienia miasta była krótkotrwała i odosobniona. Do ponownego zabudowania terenu nie doszło, dzięki temu też miasto występuje dziś spod pokrywającej je warstwy ziemi w tym stanie, w jakim się znalazło skutkiem zniszczenia przed 4.000 lat.

---

ki i idealizmu, ale ich najlepszym sprzymierzeńcem. Nie przewidywał Brunetière, że jego słowa staną się tak głośne, bo w kilka miesięcy później ogłaszając broszurę **„La science et la religion“**, z całą stanowczością dyskredytuje po raz wtóry nieomylność i bezwzględną powagę nauki, w przedmowie z całą szczerością i odrobiną ironii zaznacza, że doszedł do przekonania, iż wypowiedział rzeczy „daleko bardziej interesujące niż sądził“, skoro tak szerokim odbiły się echem. Podtrzymując poprzednie twierdzenia dochodzi do wniosku, że praw rządzących ludzkością nie zdoła wyjaśnić historia, że nauki przyrodnicze nie odpowiedziały dotąd, jaki jest początek życia na ziemi, a filozofia nie objaśniła, jaki jego cel, że istnieje mnóstwo zagadnień, wobec których nauka pozostaje bezsilna, i dlatego trzeba wrócić na drogę religii, pozostawiając nauce zagadnienia, które podpadają przyrodzonym zdolnościom naszego poznania.

Religia jest źródłem prawdziwej moralności głosił Brunetière w rozprawie pt. **„La moralite de la doctrine evolutive“**. Ona jest również najgłębszą tęsknotą człowieka. Dowodów na to nie szukał Brunetière daleko, bo we współczesnym kulcie bohaterów, w okultyźmie i neo-buddyźmie, i w teoriach „metafizycznych“ przeciwstawiających się pozytywizmowi i naturalizmowi.

W przedmowie do książki Balfoura **„Les bases de la croyance“** cytując znane powiedzenie Pascala: „C'est le coeur qui connait les principes“ (Serce zna zasady) — twierdzi, że tylko z pomocą wiary można przekroczyć granicę poznawalnego fizycznego świata i zrozumieć znaczenie idealizmu. W odczycie p. t. **„Besoin de croire“** wygłoszonym podobnie jak odczyt o odrodzeniu idealizmu w Besançon, na zjeździe katolickim 19 listopada 1898 swe rozważania o konieczności wiary streścił w tych słowach: „Trzeba wierzyć, by być uczonym, trzeba wierzyć, by być patriotą, trzeba wierzyć, by być moralnym“. Zaś za najdoskonalszy system religijny zapewniający rozwiązanie trafne i skuteczne wszystkim zagadnieniom życia zbiorowego i indywidualnego poczytywał katolicyzm, który ma tylu wrogów, bo w przeciwieństwie do innych systemów jest oparty na idei ofiary

Dopiero w świetle katolicyzmu — twierdził Brunetière — kwestia społeczna staje się czymś więcej niż „kwestią brzucha“, Socjalizm dążący także do urzeczywistnienia „królestwa niebieskiego“ na ziemi, marzący o powszechnym braterstwie w powszechnej miłości, obiecujący swym zwolennikom szczęście w życiu doczesnym, popełnił jeden błąd, czyniąc z kwestii społecznej jedynie kwestię ekonomiczną i rozwiązanie nierówności i niesprawiedliwości społecznych warunkując ekonomicznym postępem, który przecież już za naszych czasów stworzył nowe nierówności i nowe kształty nędzy.

„Klasy nigdy nie były mocniej między sobą rozdzielone, jak są odkąd ogłosiliśmy, że klas już nie ma; nigdy interesy ich im samym nie zdawały się bardziej rozbieżnymi i sprzecznymi, nigdy wreszcie silniej nie wierzyły one, że szczęście jednej z nich zależy od upadku drugiej“. — pisał Brunetière („Na drodze do wiary“, Poznań, str. 157).

Rozwiązanie kwestii socjalnej i osiągnięcie tak zw. sprawiedliwości społecznej widział francuski uczony w odrodzeniu prawdziwej chrześcijańskiej, katolickiej, moralności, która musi doprowadzić do tego, że z kwestii socjalnej „każdy obywatel uczyni swą sprawę osobistą — i to mniej jako obywatel niż jako człowiek“.

Swe ostateczne wyznanie wiary złożył Brunetière na kongresie w Lille w 1900 r. w tych krótkich, lapidarnych słowach: „ce que je crois... allez le demander a Rome!“ (Tego, w co wierzę, szukajcie w Rzymie), a złożył je z całą świadomością mając za sobą już ogrom pracy naukowej i badawczej, chwałę „wielkiego kaznodziei“, jak przezwali go jego przeciwnicy nie mogący się jednak oprzeć czarowi jego wymowy, złożył je jako członek Akademii, jeden z czterdziestu nieśmiertelnych najbardziej zasłużonych pisarzy i uczonych Francji, dając tym samym dowód, że prawdziwa wiedza nie zamyka drogi przed wiarą, byle tylko człowiek sam zapragnął jej światła i otworzył swój rozum i swe serce na jej działanie.

wie odnosił się do romantyzmu, to też połowiczne stanowisko Brodzińskiego mogło mu zjednać przychylność, dla kolegi z warszawskiego uniwersytetu. Senat Akademicki wysłał do Wielkiej Rady obszerną, gruntownie umotywowaną odpowiedź. Stwierdzał w niej, że wedle par. 5 Statutu Uniw. Jag. każdy z dwóch oddziałów, tak filozoficzny, jak również matematyczno-fizyczny wydziału filozoficznego ma równe prawa, że zgodnie z par. 84 urządzenia wewnętrznego, nikt nie może być profesorem uniwersytetu, jeżeli nie posiada stopnia doktorskiego z przedmiotów należących do jego oddziału, że par. 130 przewiduje znowu, iż doktorowie filozofii obu wydziałów, a zatem matematyczno-fizycznego, jak i literackiego, są doktorami filozofii, wreszcie, że „wydział filozoficzny, tak literatury jak matematyczno-fizyczny w szczególności dotąd kreowali doktorów i sami JJWW. komisarze organizacyjni przyjęli wydziału filozoficznego dyplomata na doktorów filozofii"; dlatego Senat Akademicki sądzi, że „każdemu w szczególności oddziałowi wydziału filozoficznego służy prawo udzielania stopni doktorskich". (Protokóły z posiedzeń Senatu Akademickiego, Rks 365. Archiwum Uniw. Jag.).

Na tym jednak urywa się dalsza nić badań. W „Dzienniku podawczym Wielkiej Rady, pod nr 959 z dnia 31 stycznia 1824 r. zanotowano, że rektor „przedstawia, czyli według przepisów Statutu teraz obowiązującego, obydwom odziałom filozoficznego służy prawo nadawania stopni doktorskich". (Dziennik podawczy W. R. U. J., rks 360. Archiwum Uniw. Jag.), brak jednak obok tej notatki jakiejkolwiek informacji, jak sprawa ta została ostatecznie załatwiona, choć prawie zawsze tego rodzaju wyjaśnienia znajdują się w Dzienniku. Również na posiedzenia Wielkiej Rady sprawy Brodzińskiego już nie wnoszono, jak sądzić należy z protokółów z r. 1825. Można by więc przypuszczać, że Wodzicki, jako prezes Wielkiej Rady, stosując się do jej uchwały z dnia 17 grudnia 1824 r., iż wyjaśnienia Senatu będą podstawą do odpowiedzi na prośbę Brodzińskiego, zawiadomił go o nadaniu mu tytułu doktora przez Uniwersytet Jagielloński. Tymczasem w Archiwum uniwersyteckim nie znajdujemy już żadnych materiałów, brak również wspomnianego wyjaśnienia Senatu, nie ma też odpowiedzi danej Brodzińskiemu. Wreszcie w spisie doktorów Uniwersytetu Jag. w książce J. Nowakowskiego p. t. Statuta nec non liber promotiorum philosophorum ordinis in Universitate studiorum Jagellonica ab anno 1402 ad annum 1849 Cracoviae 1849. Także nie ma nazwiska Brodzińskiego pod r. 1824 (w tym roku otrzymali na oddziale literackim doktoraty tylko J. C. S Smaczniński i W. Smaczniński) i 1825 (tylko K. Mecherzyński.

Bo też w istocie Brodziński stopnia doktorskiego w Uniwersytecie Jagiellońskim nie dostał Dlaczego Wielka Rada, mimo przychylnej opinii Senatu Akademickiego schowała akta, odnoszące się do tej sprawy, a właściwie zniszczyła jej końcowe rozstrzygnięcie, niewiadomo. Brodziński — może otrzymał jakąś odpowiedź — bo już w połowie r. 1824 zaczął się starać o doktorat w uniwersytecie warszawskim, tym razem z pomyślnym skutkiem. Dnia 24 października Wydział filozoficzny Uniwersytetu Warszawskiego, nadał mu stopień doktora filozofii i równocześnie mianował go magistrem sztuk wyzwolonych: philosophiae doctorem et A. A. L. L. magistrum. (J. Bieliński, Król. Uniwersytet Warsz., War. 1912. III. 449).

W ten sposób profesor uniwersytetu warszawskiego na próżno starał się o stopień doktora w Uniwersytecie Jagiellońskim.

Stanisław Pagaczewski

Sosna samotna

(Wspomnienie o Emilianie Baczewskim)

Życie obfituje w mnóstwo cichych tragedyj, bólów, nieszczęść. W zgiełku, w szalonym tempie naszych czynności — mijamy bezwiednie istnienia, na których swą pieczęć położyło cierpienie, i których upragnionym celem jest wieczny odpoczynek, z daleka od hałaśliwego jarmarku życia. Tym bardziej w czasie wojny nie dostrzegamy tych istnień tragicznych lecz cichych, gdyż wokół nas dzieją się rzeczy straszne i wielkie.

Czasem tylko — kilka wierszy przepojonych cierpieniem i melancholią — czasem tylko jakiś list do matki — otworzy nam oczy na to, czego nie spostrzegamy, zajęci własnymi, egoistycznymi celami i pragnieniami. Jedną z takich postaci przepojonych głębokim smutkiem i pragnieniem śmierci był zmarły przed dwudziestu laty w 25 roku życia E m i l i a n B a c z e w s k i (1892—1917), po którym został jeden tylko zbiorek poezyj p. t. „Sosna samotna". Mało kto zna te poezje. Ukazały się one w roku 1920, w czasie gdy szczęk oręża głuszył całkowicie ciche słowa poety.

Uderzają te poezje niezwykle głęboką melancholią, tym bardziej dziwną, że przesycającą duszę człowieka bardzo jeszcze młodego. Wiersz tytułowy zbiorku „Sosna samotna" powstał w roku 1910, a więc wtedy, gdy poeta miał lat 18.

„Zerwał się wicher — drzewa zaszumiały
zrazu łagodnie, potem głośniej, głośno...
ja pośród nich stoję tak słaby, tak mały
a one patrzą zielenią i wiosną.
wierzba rozłupana jęczy wiewem chłodnym
równopienna sosna szumi pieśni dumne —
ona będzie moim druhem niezawodnym
gdy z pociętej na deski zrobią dla mnie
trumnę".

Tęsknota za śmiercią przejawia się w przeważającej części jego utworów. Tak na przykład w wierszu niemieckim „Komm, guter Tod" poeta powiada:

„Komm, guter Tod! umarme mich gelinde
vom Auge löse grelles Lebenslicht,
und gib mir Schutz, wie einem kranken Kinde
mit dichtem Schirm verhülle mein Gesicht".
(Przyjdź dobra śmierci i weź mnie w swe objęcia.
zaćmij mi oczy pałające życiem —
daj mi opiekę jak małemu, choremu dziecięciu
i zasłoń moją twarz gęstym i ciemnym okryciem).

Dziwne jest ukochanie śmierci u człowieka wesołego i dość towarzyskiego, jakim był Emilian Baczewski. Ale któż zdoła odgadnąć tajniki ludzkiej duszy?

W poezjach Baczewskiego występuje też silnie poczucie samotności (n. p. wiersz „Sam"):

„...Wówczas dopiero gdy noc światem włada
gdy taka cisza, taki spokój głuchy
gdy w chmury skryta nocy gwiazda blada
na mnie spogląda... pierzcha widmo skruchy —
bunt straszny wznoszę!
bezsilnymi ruchy
pięści bezbronnej grożę! Pięść opada —
upadam także — lecę w przepaść, tam...
— — — — — — — — — — —
Nie lecę nigdzie, jestem tu, na ziemi
ale... tak sam, tak strasznie, strasznie sam!"

Emilian Baczewski dostał się w koła machiny wojennej, która bezlitośnie szafowała skarbem ludzkiego życia, które miast wzbudzić w nim odrazę do śmierci, spotęgowała jego tęsknotę do niej. Pełniąc służbę w pociągu sanitarnym kursującym między frontem włoskim a Wiedniem, poeta stykał się bez przerwy ze śmiercią i cierpieniem. Utwory jego z tego czasu są pełne pesymizmu i smutku.

„Tak smutno, dziwnie i tak podle
że jeśli żyje ktoś bez troski,
powinien codzień w wielkim modle
dziękować, że mu pozwolono
uzyskać taki wyrok boski,
w którym spowity żal zasłoną —
w którym jasnością na błękicie
okryte głupie, głupie życie".

Urwała się nić życia Baczewskiego w trzecim roku wojny światowej. Zgasł człowiek, który by napewno dał światu się poznać jako ciekawy talent poetycki. Forma jego wierszy nie jest co-prawda nowoczesna, są tam rzeczy słabsze — ale jest niewątpliwie iskra talentu, której niestety los nie dozwolił w płomień się zamienić. Spełniło się życzenie poety:

„Och! jakbym pragnął w tej utonąć ciszy
skryć to, co duch mój przeżył i przeżywa
tam, gdzie się świata głosów nie dosłyszy
i gdzie się wiotka dążeń nić urywa..."

Nie dowiemy się nigdy z ust poety co było powodem jego zwątpienia — zostanie on dla nas postacią tragiczną, postacią człowieka, który mógł piękną odegrać w życiu rolę, a który właśnie przez to życie został w samych początkach złamany.

Anna Wag

Jak lis kurę na Gody dostał

Hej! miły Boże! Złą ma drogę organista Pieter. Polatuje gęsto śnieg, zbity w mroźne krupki, ostre niczym owe ziarna owsiane, które chłopaki we święty Szczepan miotają w ludzi. Raz wraz zgarnia organista pełną garścią białą osędzielinę z kożucha, z czapy, z wąsów. Nogi grzęzną do pół cholew w śniegowych usypiskach, kiełzną na wyślizganych płozami zboczach, tobół na ramionach obija za każdym krokiem plecy świątecznym ciężarem, koszyk na ręce zwieszony włazi jakoś opacznie między nogi. I... diabli nadali!

— Juści — mruczy do siebie Pieter, zły widać bardzo — ty się człowieku tylko innym wysługuj, lataj po mieście, a to temu drożdży, a to temu pieprzu. Ino się zwiedzieli, że do miasta idę, drzwi się u nas nie zamykały. Walenty niby to miał mnie saniami do domu odwieźć i co? Anim dwa pacierze u Jałochy nie posiedział, (bez jedzenia miałem cały dzień strzymać, czy jak?) oho, juźci mojego Walentego nie ma. Pojechał — mówią ludzie — będzie teraz może za figurą. I rypaj tu teraz człeku piechty tyli świat drogi, jeszcze z ciężarem! A niech się zgubi coniebądź, toż to będzie Magda pomstowała! Ona zawsze tak: — wszystko moja wina.

Przerwał rozmyślania Pieter na niemiłym wspomnieniu żony. Rozejrzał się dokoła. Za zakrętem zbiegającej bystro ku potokowi drogi błyszczało coś nad pasemkiem sinych zarośli. Ani chybi blaszana chorągiewka na dachu karczmy w Podbrzeziu tak odbija niklą jasność chmurnego dnia. A gdyby tak wstąpić? Dobrze tam śledzie mają, jaki krupniczek smaczny umie warzyć pan Jacek, ten, co to w metryce ma wypisane imię „Hiacent", jakby na pośmiewisko wszystkich znajomków. Ale co tam miano, kiedy krupnik taki sławny, że sam dziedzic ile tylko razy przejeżdża wstępuje na szklaneczkę. Jakże się oprzeć takiej pokusie?

— Do domu tak czy owak zajdę późno — przewalczał skrupuły Pieter — wejdę ogrzać się co nieco, ręce mi całkiem zgrabiały. Wódki ani do ust nie wezmę. Ludziska tam pewnie siedzą, piją, nie bacząc, że jutro święta wigilia. Trza powieścić przykładem.

Widać nieladajaki przykład dał Pieter pijakom, bo skoro po małej godzince wytoczył się znowu ze swym tobołem na drogę, chwiał się zlekka na nogach, a w izbie słychać było okrutny brzęk rozbijanego szkliwa. Iście ciężka jest dola tych, co chcą bliźnich oświecać. Snać bitka jakowaś się przygodziła i srodze poturbowali niebogiego organistę. Na głowie ma guz jak kurze jajo i oko jedno podbite. Nie pomoże rozcieranie śniegiem, ni stanie bez czapy na mrozie. A mróz brał tęgi, ile że się pod wieczór wypogodziło niebo do czysta. Ha, ból bólem, a z Podbrzezia do Zębocina jeszcze pół mili. Trza iść.

— Gościńcem nie pójdę — medytował Pieter — spory kęs drogi się nakłada, a przez dworskie pole ino się mignie. Przez olszynę, koło stawu i już ci naszą plebanię widać.

Idzie. Twardo przytupuje buciskami śniegową białość taką jarzącą, że aż w oczy kłuje. Wokół bezdroże puste, ale słońce zapalające wsparło się skrajem czerwonego kręgu o szczyt. Malacinowego wzgórza i wymościło prościutki pas szkarłatny spod nóg, aż do domu. Nie zabłądzi.

Markotnie i niemrawo wlecze się taka samotna droga. Przystanął Pieter na chwilę, by fajkę z zanadrza wyciągnąć i zakurzyć, i właśnie wtedy zdawało mu się, że tuż kolo jego nóg przemknął zwinny cień. Wytrzeszczył oczy — nic nie ma. Zwidziało się coś pewnie, bo w tym pierwszym grudniowym mroku wszystko takie jakieś ruchliwe i rozedrgane. Słońce zaszło. Będzie też to Magda piekłowała, będzie!

Ki licho? Znowu smyrgło coś tak blisko Pietra, że mu się o cholewy otarło i pokicało dalej. Widzieliście ludzie — lis! Ubiegł kilka kroków i przysiadł na śniegu, widno postrzelony, czy chory. Ej, żeby to mieć pod ręką strzelbinę jaką; dopierożby był podarek dla plebana na Gody.

Skrada się Pieter za lisem, nogami ledwie że rusza, ale śnieg chrzęści, kołaczą się graty w koszu, ale dziw, że Kita nie ucieka. Poderwie się kilka kroków, znów przycupnie, ino tym ogonem bije o ziemię, a wiedzie za sobą organistę dalej i dalej. Po prawdzie nie ma poco iść, boć ręką lisa nie ułapi. Kluczy jeno Kita tam i sam, aż nagle zniknął gdzieś, jakby się zapadł pod ziemię.

Opamiętał się Pieter. Gdzież to zaszedł? Wokoło mrok, pustka, bezdroże. Gdzie spojrzeć, chaszcze kolczaste zagradzają drogę, śnieg pod nogami chrupie głucho, stopy grzęzną w nim, jakby chwiejna biała skorupa kryła przepaść niezamarzniętego trzęsawiska.

W imię Ojca i Syna. Zabłądził!... A niedawno przecie, jak gajowy wracał z jarmarku, zeszedł tak samo z gościńca, to przepadł bez śladu. Czy w topielisko wpadł, czy go wilki napadły i choć strzelbę miał, nie obronił się. I tylko tę strzelbę i torbę ludzie naszli po nim w polu. A nuż to Złe przybrało postać lisa? Wwiodło na wertepy, na zdradliwe mokradła i raduje się teraz, że człek drogi nieświadom błądzić będzie, tułać się do rana, a i zaklnie nie jeden raz na szkodę duszy swojej. Wszelki duch Pana Boga chwali!

— I ja Go chwalę! — odpowiedział jakiś głos z boku wystraszonemu organiście.

Obejrzał się Pieter — nikogo nie ma. Przetarł oczy, aż tu widzi pod krzakiem, ten ci sam rudy Kita, co go przódzi tropił, siedzi pięknie, grzecznie, łapki ułożył, łeb przekrzywił na bok a oczkami bystro pogląda.

Dr Jan Magiera

Iwan Stodola

Słowacki satyryk-dramaturg

Corocznie jesienią w Turczańskim św. Martinie odbywają się turnieje „ochotnickych divadiel". Nigdzie bowiem nie upowszechnił się i nie został wypielęgnowany teatr amatorski tak wzorowo, jak w Słowacji. Ma on tam już swoją historię z bardzo chlubnymi kartami. Teatry Narodowe oba, w Bratysławie i Koszycach, są czesko-słowackie, grywa się w nich w języku czeskim i słowackim. Jeno te ochotnicze sceny na powiatach są rdzennie i czysto słowackie.

Dla ochotniczych zespołów starali się Słowacy od dawna o dostarczenie utworów i oryginalnych i przyswojonych. Blisko setka tomików zapełnia już wydawnictwo *„Slovenskeho divadelniho ochotnika"*. Są tam i polskie utwory. Nową serię podjęło „Ustredie (centrala) slovenskych ochotnickych divadiel" p. t. *„Divadelna knižnica"*. W obu zbiorach spotykamy się wielokrotnie z nazwiskiem Dra Ivana *Stodoli*, który jest dzisiaj bezspornie najpopularniejszym dramaturgiem słowackim.

Zyskawszy powodzenie na ochotniczych przedstawieniach, pokusił się o wprowadzenie swych utworów na scenę teatru wielkomiejskiego w Bratysławie, a nawet w Pradze. Grano też Stodolowe utwory już w Zagrzebiu i Lublanie, a więc w Jugosławii; jeno w Polsce — jeszcze nie. Tu ledwie, ze imię jego jest znane i to nie wielu. A przecie dłużej nie powinien być nam tak daleki.

Dr. Ivan *Stodola*, Liptowiak, lekarz, ma w dorobku teatralnym następujące kompozycje sceniczne: *„Czaj (herbatka) u pana senatora"* (komedia polityczna), — *„Nasz pan minister"* (fraszka), — *„Baczowa zena"* (dramat), — *„Belasy encyan"* (komedia), — *„Jožko Puczik a jeho karierą"* (satyra), — *„Ciganczа"* — *Cyganiątko"* (komedia), — *„Bankinghause Khuwich et Comp."* (komedia), — *„Kral Svätopluk"* (dramat) i dwa żarty sceniczne: *„Volby"* (Wybory) i *„Daniowe pokonavanie"* (Podatkowe załatwianie).

Wszystkie wieloaktowe utwory były jako premiery bardzo starannie wystawione, zwłaszcza w Bratysławie, gdzie reżyseria Janka *Borodacza* stara się o jak najdoskonalsze wykonanie. Ważnym jest u niego wzgląd narodowy. W „Narodowym Teatrze Słowackim" wystawiane są utwory czeskie i słowackie, nawet artyści Słowacy grają to po czesku, to po słowacku. Ambicja narodowa słowackiego aktora wysila się, aby rodzime dzieło zajaśniało możliwie najsilniejszym światłem wobec utworów scenicznych już wielowiekowej piśmienniczości czeskiej.

Dwa dramaty: *„Baczowa żona"* i historyczny *„Król Swiętopełk"* wyróżniają się swą powagą. Utwór drugi należy już do literatury reprezentacyjnej na wielkie dni narodowe czy państwowe.

Wczesnohistoryczny książę Svätopluk ma siedzibę swoją w Nitrze. Do niego należy także gród na Dziewinie (Devin przy wpływie Morawy do Dunaju.). Svätopluk prowadzi walkę z Niemcami. Ma wszelkie dane, by rozgromić nieprzyjaciela. Nie przeczuł zdrady w rodzinie; zgotowała mu ją siostra synowej i — właśni synowie: Mojmir i Svätopluk, noszący ojcowe imię. Wtrącił ich król do więzienia i na stracenie zasądził. W zbawienną dla skazańców porę zjawia się trzeci syn królewski, Svätoboj, w zakonnej szacie. W Chrystusowe imię zaklina ojca, niech przebaczy zdrajcom. Dziwna przemiana w duszy królewskiej. Daruje im winę i nawet oddaje im królestwo; niechaj rządzą oni. Lecz teraz tragedia. Bracia poróżnili się śmiertelnie. Król umiera, a na wyrodnych swych synów walczących miota przekleństwo. Na scenie żywi zostają jeno mnich Svätoboj i wierny wielkodusznego župan Drahomir.

Gdy jesienią 1936 na cześć prezydenta republiki, goszczonego przez Bratysławę, wystawiono „Svätopluka", połączono dramat ze sceniczną muzyką kompozytora Suchonia. Krytyka orzekła, że „Stodolova drama nesmierne ziskala tymto spojenim". Wypowiedziano przy tym charakterystyczną uwagę: „uź nebude treba vypožiciavat' ...czeske hry k slavnostnym predstaveniom w Slovenskom Narodnom Diadle. Kral Svätopluk vyplni medzeru vždy". Lukę więc dotkliwą wypełnił dramat Stodoli na trwałe.

W lutym 1929 pokazała się na deskach Wychodoslovenskeho divadla w Koszycach jako premiera *„Baczova žena"*, dramat 3-aktowy. Gdyby treść pokazać w filmie, należałby się jej tytuł: „Żona dwu mężów". Ewa otrzymała urzędową wiadomość, że jej mąż Ondrej zginął w katastrofie kopalnianej w Ameryce. Czuje się więc wolną: los swój wiąże z innym bacą, Miszem. Aż tu pierwszy małżonek wraca z Ameryki. Rywale krzyżują wałaszki. Żona dwu mężów przebija się nożem. Mężczyźni w obliczu jej tragedii ochłonęli z namiętności. Ich żywoty ocalały.

Za ocean spojrzał raz jeszcze, ale już okiem Razusa i obserwuje życie i powodzenie rodaków w Ameryce. Razus dojrzał tam tatrzańskiego bacę, który obrotnością doszedł do wielkiego majątku i stał się milionerem przemysłowcem. Stodola satyrycznym wzrokiem podpatrzył tych, co szukać tylko kawałka chleba poszli za „wielką wodę", ale, gdy go dostali z omastą nawet, zapragnęli się wzbogacić i nuże spekulować na giełdzie. Sceniczna satyra zowie się „Banking-hause Khuwitsch et Comp.". Grana była w Bratysławie, Pradze i Morawskiej Ostrawie.

Moment satyryczny występuje w przeważającej liczbie utworów Stodoli. W „Na herbatce u pana senatora" wyśmiał kandydatów do mandatu poselskiego i ich żony i nowych powojennych dygnitarzy ministerialnych. W „Karierze Józefa Puczika", wychłostał „społeczne pracownice", co zaniedbują własne gospodarstwa domowe, a groszem publicznym na swe dobro nie gardzą. Smaga też rywalizację filantropijnych stowarzyszeń i niemoralne poczynania dyrektorów tych towarzystw. Woźny Puczik, zanim oczyszczony został z podejrzeń o kradzież, traci posadę w „Humanitas", ale zaraz go bierze do siebie „Benevolentia". Zwycięstwo idei sprawiedliwości rozjaśnia mile atmosferę satyryczną.

„Puczik" uchodzi za najpopularniejsze dzieło Stodoli, choć akcję ma prostą i dość naiwną. Ta „satyra na fałszywie pojmowaną humanitarność" grana była poza Słowacją w Morawskiej Ostrawie, Pradze i Lublanie.

Satyrą na „dobrze urodzonych", ale nie dobrze żyjących i praktykujących, jest szlachetne i moralnie uczciwe *„Cyganiątko"*. Z dumą prawej duszy cyganka Magdalena porzuca pańskie pokoje, by na życie zarabiać samodzielnie i nie znosić lekceważeń pseudoarystokratów. Tańczy w lokalu wieczorowym. Autor nie zostawił jej przecie w barze; dał swej bohaterce los kochanej małżonki i dobrej w przyszłości matki u boku rozumnego sercem męża.

Przykładając do Stodolowych utworów miarę artystyczną, wyznać trzeba, że w teatrze wielkomiejskim, u nas, nie czułyby się swojsko. Puczik w Pradze musiał być przez autora przepracowany, a dramaturg Narodniho Divadla, L. Kulhanek, musiał go jeszcze wygładzić. To prawda. Ale na deskach scen ochotniczych, na powiatach, Stodola ma u nas warunki powodzenia, nie mniejsze niż utwory Anczyca, które od słowackich satyr Stodoli wyróżniają się tylko wybitnie polsko-ludowym charakterem i melodiami.

Związek ochotniczych teatrów mieszczańskich, gdyby taki istniał, miałby dobrą pomoc repertoarową w Stodoli, bo „włościańskie" zacieśniają się do tylko „wiejskich" teatrów. Za Tatrami „Ustredie slovenskyh ochotnickych divadiel" obejmuje i wiejskie i miejskie teatry amatorskie. Ale też tam wieś i miasto, to jedno.



— Tyżeś to mówił, lisie?

— Jusci ja. Dy tu ino my samowtór. Nikt więcej.

— Jakże zwierzęciem będąc — i to za łaską rzec — dość podłym, po ludzku się odzywac umiesz?

— A, a... To pan organista nie wie, że na Gody zwierzęta wszystkie ludzką mową gadają, w nagrodę, że pierwsze uznały Zbawiciela i piastować Go pomagały?

— To wiem, ale wilia przecie dopiero jutro!

— Pewnie, że jutro, ale ja sprawę pilną do was mam, tedy pozwolono mi już dziś języka waszego zażyć.

— Sprawę do mnie masz?

— Ano, posłuchajcie tylko. Święta za pasem. Każdy się sposobi jak może. Zwierzęta też, a jakże. Pośpieszą do stajenki, oj pospieszą, jak ongi w Betleem. No to i jakże tu w taki dzień polować? Dy by mnie pierwszy kęs na miejscu zadławił. Nie godzi się krwią bratnią kalać święto Narodzenia. A i to wam powiem, że mam serce okrutnie miętkie. Jak stanie taka zajęczyna, jak weźmie łapki składać, „a zlituj się, a daruj życie", jak kuropatka zapiska ci pod pazurami, albo chomik, albo co chce niech będzie, zaraz mi się mgło robi, puszczam, ani nie tknę...

— Czegoż ty liszko ode mnie chcesz?

— Jakbyście też mi jedną kurę dali — na święta...

— Kurę?

— A ino, by najchudszą kokoszkę. Dyćżeście człowiek miłosierny, a dobytku wszelakiego macie dość. Albo to nie wiem ile baba wasza na Gody nasmaryła, napiekła wszelijakich dobrości, to i nie wiela wam ubędzie.

— I czemuż to kurę chcesz dostać?

— Przeciem wam już mówił: polować się nie godzi. Dejcież, dejcie panie organisto z dobrej woli. Albobym to nie mógł się podkopać pod ten wasz kurnik? Owa! Albo to forteca? A nie chcę tak, jak złodziej. By o mnie ino szło, nie stałbym tak o te jakiesi ochłapy, ale widzicie, doma mam dzieci. Sześcioro. I żonę.

— Żonatyś? — westchnął Pieter ze współczuciem.

— Jakbyście wiedzieli. A złą mam babę, jej, jej... Jak mi łapę przetrąciła na święty Michał, bez to, żem nic do jamy nie przyniósł, tak do dziś kuleję.

— Już bym ci dał, Kito, tę kokoszkę — skrobie się Pieter za uchem — kiedyś taki chudobny i do tego złą masz (wiem ja co to znaczy), ale ci sprawiedliwie powiem, jak na świętej spowiedzi. Widzisz — piłem. Mało - niedużo, alem pił. A nuż mi się to wszystko ino zwiduje? Jakoż uznam, że siedzisz tu we własnej osobie i ze mną gadasz?

— O to byście się kłopocili? Ady wyciągnijcie rękę, dotknijcie mojej skóry. Śmiele, śmiele. Wtedy już zabędziecie myśli, jakobym gwarzył z wami po pijanemu. No zgoda?

Hej, coby nie. Organiście w to graj. Toż gratka nielada sama mu w ręce lezie. Złapie lisa, ani chybi. Czy sobie skórkę wyprawi, czy plebanowi da na kolendę, czy żonie, zawsze to futerko ładne, ozdobnie się wyda. Sprzeda wreszcie, grosz jaki dostanie. Mówią ludzie, żeś mądry liszko, ano patrz, czyś na mędrszego nie trafił?

Wyciąga tedy Pieter rękę i łaps lisa za ogon. A ten, jakby poczuł co się święci, jak się nie zwinie, jak nie zatopi zęby w rękę co go trzyma! — Wrzasnął organista i nagle szarpnięty rymnął jak długi na ziemię, a lis pewny już ucieczki, uskoczył kilka kroków i dalejże prawić:

— To tak? Pięknie to zrobiły takie zamyślać? To ja do was ze sercem, a wy do mnie z nożem? Niedoczekanie! Jużbym sobie własnymi zębami własny ogon ogryzł, jakbym wam jakowej nauczki nie dał. Ho, poznasz lisa, panie organisto. Uwidzim się jeszcze!

Pieter już nie słuchał. Stękając, pozbierał srodze obolałe kości i pokuśtykał do chałupy. Przyszedł bardzo nieskoro i zaraz legł spać, schowawszy głowę pod pierzynę przed piekłowaniem Magdy, która wydziwiała tak, że o mało na plebanię słychać nie było. Ale skoro ino ucichła, zapadł Pieter w sen tak głęboki, jakiego nigdy jeszcze nie zaznał.

I sam nawet nie wiedział, jak się to stało, że prosto z tego snu, z łóżka, znalazł się nazajutrz rankiem w kościele.

Roraty odśpiewał pięknie jak przystało, kapkę mu pogryziona ręka, która zczerwieniała i napuchła, w grze zawadzała, ale co prawą nie zdolił, to lewą dohuczał na organie. Potem, jałowego żuru na śniadanie podjadłszy, pomagał kościelnemu stroić choiną ołtarze, ustawiał jasełkowe osóbki, aż i doczekał się wieczerzy o pierwszej gwieździe. Połamali się z Magdą opłatkiem, urazy sobie wzajemnie darowując, potem na plebanię z kolendą poszli, a że przed pasterką spać się nie godziło, ruszył Pieter nawiedzić tego i owego sąsiada. Wszędzie witali go szczerą ochotą i pełną czarką, no i tak szły szczęśliwie te traktamenty, aż przerwał je głos dzwonu, zwołujący naród na mszę pasterską. Zląkł się Pieter że już późno, a pleban w takich razach nie żartował i rękę miał wartką. Popędził tedy organista na plączących się nogach zaśnieżonym gościńcem, aż tu naraz w połowie drogi zmacał, że nie ma przy sobie klucza od chóru.

Skaranie boskie! Przecie zabrał klucz z domu, nie spodziewając się wrócić przed północkiem. — Gdzież go mógł stracić? Czy na drodze, czy u kuma jakiego? Ej, będzie to bieda będzie!

Gnany niepokojem i obawą zawrócił Pieter z powrotem, chylając się raz po raz ku ziemi, rozkopywał butami przydrożne zaspy, wytrzeszczał oczy na wszystkie strony — daremnie. Nie ma innej rady, ino duchem kowala ze sprzętem jakim zwać i drzwi wyważyć. Może we dwóch dadzą radę, choć to wrzeciądze dębowe, mocne.

Kiedy tak Pieter stoi w niepewności i zam

Rozrywki umysłowe Nr 52/91

pod kier. inż. H. Braumanowej, czł. Kl. Szar.

Konkurs świąteczny.

ZAD. 1. — REBUS (5 PUNKTÓW)
uł. „Kasta" — czł. Kl. Szar.



ZAD. 2. — SZARADA — RADOSNA NOWINA (2 PUNKTY)
uł. „Rex" — czł. Kl. Szar.

Z kościółka Świętej **Trój**[1]**-szóstej**
dźwięki się cudne roznoszą,
spiżowe dzwony w tej pustce
wieszczą nowinę radosną.
Wielka się niesie nowina,
dwa tam w Stajence ubogiej,
trzy świat przychodzi Dziecina,
by nam do nieba dać drogę.

Chrystus się **czwór-pięć** w stajence,
pójdźmy hołd złożyć należny,
złóżmy hołd Jego Mateńce,
raz-ś my huf wierny, potężny...
Wspak pięć-dwa śladem pasterzy
prosić u Niego w tej chwili
wspak raz-czwór-szóstej w obieży,
a On ci Nieba przychyli...

[1]) wspak

ZAD. 3. — LOGOGRYF AKTUALNY (4 PUNKTY)
uł. W. Nosé — czł. Kl. Szar.

Odnaleźć należy 19 pięcioliterowych wyrazów według podanych oznaczeń, początkowe litery których dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1. najszybszy bieg konia, 2. rodzaj powozu, 3. religijny mityczny poeta w Grecji, 4. napowrót wstecz (łac.), 5. obraz święty, 6. dodatek, załącznik, 7. pierwsze zadanie karty, 8. inaszej „ski", 9. nauka o zasadach moralności, 10. miasto w Tracji greckiej u podnóża gór Rodope, 11. pierwiastek chem., 12. poezja epiczna, 13. błękit, 14. osobnik, główny przedmiot treści (franc.), 15. bogini, siostra i żona Ozyrysa, 16. płynność wysłowienia się, 17. maszyna do pogłębiania rzek, 18. kołnierz futrzany, 19. gwałtowna burza.

ZAD. 4. — KONIKÓWKA (5 PUNKTÓW)
uł. W. Nosé — czł. Kl. Szar.

Ruchem konika szachowego należy odczytać rozwiązanie.

Do	wek	o	łych	cze	Roz	dak	We
raz	świąt	nia	ry	cji	so	ży	łu
U	sie	A	No	sy	tor	nia	Re
Pa	Bra	prze	au	ni	se	Dzia	że
go	my	Sza	z	W.	ła	du	cze
ci	ni	wych	ku	ra	na	tak	ce
sło	Ro	lep	su	row	skiej	ży	ro
Naj	Gło	kie	dziar	sze	Na	nicz	a

Skrzynka pocztowa: Wszystkim Prenumeratorom, Czytelnikom i Sympatykom naszego pisma oraz Braciom Szaradzistom życzenia Wesołych Świąt zasyła kierowniczka Działu R. U.

KUPON Nr 52/91
ważny na grudzień r. b.

Humor

DOBRA WAGA.

Rzeźniczka do mleczarki: — Sąsiadko, temu serowi, co u pani kupiłam brakowało 10 dkg.

Mleczarka: — To dziwne naprawdę. Nie miałam pod ręką funtowego ciężarka i zważyłam kiełbasą, którą przed chwilą kupiłam u pani.

RÓŻNICA.

Czy wiecie kolego, jaka jest różnica między stemplowaną zapalniczką a szmuglowaną?

— No.

— Stemplowana pachnie benzyną, a szmuglowana — pachnie kozą.

PRAKTYCZNOŚĆ.

— Durand zaprosił mnie wczoraj do winiarni i próbował odrazu zaciągnąć pożyczkę.

— Odmówiłeś z punktu?

— Nie zaraz, dopiero po drugiej flaszce wina.

MIĘDZY MALARZAMI.

— Na całej wystawie obejrzałem dokładnie tylko jeden obraz, twojego pendzla...

— Dzięki, stary przyjacielu!

— ...przy innych obrazach był taki tłok, iż było to niepodobieństwem.

PIERWSZY KROK.

— Czy naprawdę masz zamiar przestać pić?

— Tak. Kupiłem sobie nawet scyzoryk bez korkociągu.

GRANICE CIERPLIWOŚCI.

Znakomity chirurg S. jest ogromnie roztargniony. Pewnego razu po skończonej operacji zwraca się do pacjenta.

— Niestety, będę musiał otworzyć jamę brzuszną, gdyż zostawiłem w niej nożyczki.

Pacjent bez szemrania poddał się zabiegowi. Następnie okazało się, że doktór zapomniał wyjąć gąbkę. Po raz trzeci otworzył więc jamę brzuszną i zaszył z powrotem. Odsapnął z ulgą, lecz nagle zbladł.

— Mój Boże! Zostawiłem w pańskim brzuchu moje rękawiczki!

Chory zniecierpliwił się.

— Dość tego! — wyszeptał z trudem. — Ma pan u mnie 10 złotych. Kupi pan sobie nowe!...

MA RACJĘ.

— Dokąd się tak spieszysz?

— Do jarskiej restauracji!

— Czy taki głodny jesteś?

— Nie, ale mi obiad zwiędnie!

RADA.

Profesor Z., który przed miesiącem został ojcem, siedzi w swoim gabinecie. Nagle wchodzi pani profesorowa.

— Nie wiem co robić! Dziecko nie chce zasnąć!

— Niech liczy do tysiąca.

---

wie co począć, migły mu naraz przed oczyma ostre sterczące uszka i puchaty ogon: lis!

— Oj pokarał mnie Kita pokarał — przemknęło przez głowę organiście. Ani chybi, to, żem klucz zgubił, jego sprawka. Trza wracać.

Do kościoła niedaleko. Biegnie organista, aż dudni za nim echo kroków, a tu drogi jakoś nic nie ubywa. Poci się Pieter, nogami macha, że widzi się, milę by uszedł, a tu ledwie kilka kroków przebył. Już, już, oto brama cmentarna, jeszcze jeden skok — dopadł kruchty. Co to?

Msza zaczęta. Kościół umajony choiną jarzy się od świateł, a z chóru pięknie rozbrzmiewa organ i kolendowe pieśni. Któż to zakradł się na chór i wygrywa tak skocznie Dzieciątku na chwałę?

Krok za krokiem wspina się organista po stromych schodach. Płonie chęcią przykładnego ukarania zuchwalca, co opoważył się wedrzeć w jego królestwo. Spóźnił się, czy nie, to ino jego a Jegomości sprawa, wara komu innemu w to się wrażać. Ej, jak pięści świerzbią! Potoczy się wnet z tych schodów grajek niepytany, może sobie potem dowoli rachować kości w gnatach! Cichcem otwarł Pieter drzwi, wglądnął — i stanął jak wryty.

Chór pełen, ale nie ludzi. Nie chłopcy to i dziewczęta ze szkoły; aż roi się wszędzie od zwierząt. Wielkie, małe domowe i dzikie, w pięknym porządku, przystojnie, bez natłoku, stoją wokół organu, przy balustradzie i śpiewają, śpiewają, to grubo, to cienko aż miło słuchać.

W samym środku wół i osioł społem, wyciągają kolendę o tym ubogim żłobie, w którym marzło na garstecze słomy Boże Pacholątko. — A jak wspomniały żałośnie owe skostniałe członeczki, ledwie matczynym rąbkiem spowite, co wyciągały się ku łbom bydląt, by z ich oddechu ciepła nieco zaczerpnąć, to aż się ckliwo robiło koło serca i łzy napływały do oczu. Za wołem i osłem gromada bielutkich owieczek opowiada, jak to porwali się ze snu zestrachani pasterze, jak brali je na ręce i nieśli w ciemną noc ku lichej szopie, ku gwieździe betleemskiej. Jak beczały rozpacznie w niepewności co je czeka i jak wraz ucichły ujrzawszy w żłóbku Baranka bez zmazy i zbiły się wokół Pasterza dobrego, miękkim, wełnistym kłębem. Zaś wszelakie ptactwo: sikory, szczygły, czyżyki, gołębie, pousiadały gdzie ino skraweczek wolnego miejsca dopadły i czekają na swoją kolej, kiedy im wypadnie wdzięcznymi głosami, to dyszkantem, to basem zaśpiewać ku chwale Pana na wysokościach, który karmi je, choć nie orzą i nie sieją.

Przy manuale siedzi lis. Łapkami po klawiszach przebiera, ogonem zwierzętom takt wybija, ba, nawet księdzu responsoria odśpiewuje łacina tak piękną, że ani biskup by się jej nie powstydził.

A tu już ludzie zmiarkowali, że się na chórze niezwyczajne jakieś praktyki odbywają, raz wraz ktoś z gromady głowę odwróci, ku organom zerknie i sąsiadowi słówko szepnie. Pójdzie ta gwara po całej parafii na okrutny wstyd Pietrowi: upił się, w samą świętą wilię się upił i zwierzęta ludzkim głosem obdarzone wyrzyczę go przyszły.

Wszyscy teraz, jacy ino w kościele ludzie byli odwrócili się ku chórowi, patrzą w górę i głowami trzęsą, a lis skrzywił ucieśnie pyszczek, oczyma zamrugał, jakby podrzeźniając się Pietrowi.

— Wyciągnijcież jeszcze raz rękę, panie organisto, może dotknąć mnie chcecie? Proszę, jak wola. Myślicie pewnie, że wam się to śni, zwidują? Nie śpicie, nie! Taka sama na jawie rzetelna to prawda, jak ona, żeście się dziś setnie upili.

Rzucił się wtył organista, by przecie uciec i zejść z oczu swym prześladowcom, ale potknął się na progu, zachwiał i runął w dół. Staczał się po długich schodach, czując zbolałymi członkami twardą ich stromość, ale jeszcze i w tej podróży ścigał go zewsząd szydliwy chór „Upił się organista, upił"...

Nagle z rozgwaru wybił się tuż za uszami nieszczęśnika jeden głos, nad inne donioślejszy. To Magda.

— Skaranie boskie z tym chłopem — krzyczy— widzicie ludzie! Z łóżka się stulał na ziemię i śpi, ani pyta że już na roraty przedzwonili. Czekaj, wstaniesz ty, ino cię ożogiem po ziobrach zmacam. O święci anieli! Ady wspomóżcie mnie sierotenkę, bo dłużej z tym pijakiem nie strzymam!

Podźwignął Pieter głowę znad żlepiska polepy patrzy: kościół, chór, ludzie i zwierzęta, wszystko zniknęło bez śladu. Jego własna to izba i ogień na kominie się pali, mrok i ziąb grudniowego poranku wypłaszając. Więc to jednak był tylko zły sen.

— O mojaś ty, mojaś ty — stęknął do żony, gramoląc się z podłogi — a niechże ci Pan Jezus da zdrowie, żeś mię obudziła. Widziało się, co już ducha wyzione.

Tego jeszcze ranka, opowiadała gadatliwa organiścina księżej gospodyni, do której wpadła niby to drożdży do ciasta pożyczyć:

— Tyle mam choć pociechy na święta, że się mój przed samym Jegomościem od wódki na całe życie wyprzysiągnął. Bo pomyśl sobie moja pani: kura mi zginęła. Kokoszka jak samo złoto, codzień niesła. Samam wychowała, wykarmiła od małości a tu ci masz! I gdzie polazła? Przeciem sama na noc wszystkie kury zamkła. Rano idę — oho, kurnik pięknie na kłótkę zawarty a kokoszki nie ma. Żeby choć inna, nie ta, jużbym sobie tak nie krzywdowała. Oj, popamiętałby mnie ten có ją zabrał, przez całe życie. I kto też to mógł być, moja pani? Przecie psa przy kurniku trzymamy, toby przecie złodzieja, a i tę kunę czy lisa przepłoszył. Skaranie boskie!

Na biadanie żony, organista, który prawie pod ten czas w plebańskiej kuchni świeczniki kościelne czyścił, nie rzekł ani słówka, ale pod wąsem usta mu drgnęły chytrym, rozumiejącym uśmiechem.